

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLAKÓW W REPUBLICE SŁOWACKIEJ

MONITOR POLONIJNY



ISSN 1336-104X

ROCZNIK XXX

PAŹDZIERNIK

2025

NR 10

Dlaczego liście
zmieniają kolor
jesienia?

str 31

str 20

str 5



**Rozmowa z operatorem
Adamem Suzinem**
*O filmach „Ojciec”
i „Nepela” od kuchni*



Jubileusz Instytutu Polskiego w Bratysławie



Kiedy Europa podnosiła się po „K wojnie, w Bratysławie powstało *Nove Poľsko*, instytucja, która była zalążkiem dzisiejszego bratysławskiego Instytutu Polskiego” – mówiła Agnieszka Kwiatkowska, dyrektor tejże placówki kulturalnej podczas uroczystości z okazji 75-lecia jej działalności.

Jubileuszowa impreza przyciągnęła 19 września do siedziby Instytutu gości, reprezentujących instytucje, z którymi IP współpracuje od wielu lat. Byli zatem przedstawiciele m.in. różnych muzeów, galerii, instytutów kultury innych krajów, Słowackiej Akademii Nauk, lektoratów języka



sów podzielił się grafik Dušan Junek, autor logo, którym Instytut się posługiwał od 2011 r. przez osiem lat. „Jestem starszy od Instytutu Polskiego i dobrze pamiętam czasy, kiedy jako 17-letni student architektury zacząłem odwiedzać tę placówkę. Tu zgłębiałem kulturę i sztukę Polaków, dzięki czemu mogłem obcować z wielką kulturą europejską” – mówił artysta, którego prace właśnie są wystawiane w galerii Instytutu jako słowacki akcent jubileuszu. Ale to nie jedyna wystawa dostępna obecnie w Instytucie. W witrynach od ulicy Klobučníckej przechodnie mogą podzi-

wiać fotografie sprzed lat, w tym tę, zrobioną 26 września 1950 r. przez fotografa Słowackiej Agencji Prasowej TASR, przedstawiającą *Nové Poľsko*. Pozostałe zdjęcia pokazują ważne wydarzenia kulturalne Instytutu, także te, organizowane we współpracy z Klubem Polskim. „Instytut Polski to nasz najstarszy partner. Tu, w jego siedzibie Klub Polski stawiał pierwsze kroki, tu odbył się pierwszy Kongres, a w przeciągu ponad 30 lat naszej współpracy zorganizowaliśmy wspólnie mnóstwo



imprez, takich jak premiery naszych płyt, imprezy adresowane do dzieci, wystawy czy spotkania z cyklu *Poznajmy się, proszę*” – mówił Marek Berky, prezes Klubu Polskiego.

Ważną częścią jubileuszowego wieczoru było wręczenie odznaczeń Bene Merito, przyznawanych przez Ministra Spraw Zagranicznych za wkład w rozwój polsko-słowackich relacji. Tym zaszczytnym odznaczeniem uhonorowano tego dnia profesor Marię Vojtekową, dyrektor Instytutu Studiów Środkowo-europejskich Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Preszowskiego oraz Filipa Ostrowskiego i Juraja Koudeľ z wydawnictwa Absynt, którzy od 10 lat wydają na Słowacji książki najlepszych europejskich reportażystów, w tym także autorów polskich.

Krojenie jubileuszowego tortu przez dyrektorkę Agnieszkę Kwiatkowską oraz byłego dyrektora IP Jacka Gajewskiego oraz byłej wicedyrektorki IP Moniki Olech stało się początkiem nieformalnej części wieczoru, podczas której snuto inspirujące rozmowy i plany na przyszłość.

MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA



polskiego na słowackich uniwersytetach, ambasady RP w RS czy też Klubu Polskiego na Słowacji.

Jubileuszowe wydarzenie miało podniosły charakter; wspomniano początki działalności i prężne działania lat ostatnich. Gratulacje na ręce dyrektora Instytutu Polskiego złożył przybyły do Bratysławy dyrektor Wydziału Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych Roland Chojnacki.

Wspomnieniami z dawnych cza-





Boją się Państwo długich jesiennych melancholijnych wieczorów? Nie ma czego, ponieważ mamy dla Państwa wspaniałe propozycje, jak tę jesień sobie umilić. Dlatego ten numer jest pod znakiem kina, teatru, dobrej muzyki i książek. Nie brakuje też ciekawego przepisu kulinarnego. Ale po kolei.

W Gdyni odbywa się festiwal polskich filmów, w tym roku już po raz 50., a my przynosimy bezpośrednią relację z niego, w której nie brakuje ciekawych prezentacji polskich filmów, ale i smaczków z czerwonego dywanu (str. 20). To jednak nie wszystko, jeśli chodzi o kino, ponieważ w tym numerze znajdują też Państwo relację z XX Festiwalu Filmowego Cinematik w Piešťanach, będącą podpowiedzią, co warto obejrzeć w słowackich kinach (str. 8). A ponieważ słowacki kandydat do Oscara, czyli film „Ojciec” w reżyserii Terezy Nvotovej, to także dzieło Polaka – operatora Adama Suzina – to w „Wywiadzie miesiąca” zamieszczamy rozmowę z tym młodym utalentowanym artystą, z którym rozmawiamy także o innym filmie słowackim, do którego on robił zdjęcia, czyli o „Nepeli” (str. 5). Mamy też dla Państwa zaproszenie do teatru w Trnawie i w Opolu, gdzie można oglądać... to samo. Jak to? Wszystko za sprawą specjalnej sztuki pt. „Negatywy”, która jest wystawiana jednocześnie w Polsce, na Słowacji i w Niemczech. Namieszałam, co? Ale jeśli Państwa zaintrygowałam to odsyłam na str. 16., gdzie wszystkiego się Państwo dowiedzą.

Numer zaczynamy od jubileuszu 75-lecia Instytutu Polskiego w Bratysławie (str. 2 i 4). A ponieważ wrześnie powroty do Szkoły Polskiej w Bratysławie, Klubu Małego Polaka i Polskiego Przedszkola w Żylinie za nami, więc i o nich mogą Państwo przeczytać (str. 14 - 16). Wrzesień to tradycyjnie już Narodowe Czytanie - tym razem relacja nie tylko z Instytutu Polskiego (str. 10), ale i z czytania bajek w Żylinie (str. 13).

W naszym dziale muzycznym w tym miesiącu na jazzowo o Pink Freud (str. 22), zaś w rubryce literackiej artykuł na temat Hanki. Której? Książkowej! Mowa bowiem o esej „Hanka. Opowieść o awansie” Macieja Jakubowiaka (str. 22). A na koniec jeszcze ciekawy pomysł na wycieczkę, czyli propozycja wyjazdu do Nitry w ramach „Słowackich perełek” (str. 25).

Na początku zapowiedziałam coś pysznego. Co to takiego? Może to Państwa zdziwi, ale nasza redakcyjna koleżanka wyczarowała coś ciekawego z buraka (str. 32).

Życzę miłych jesiennych dni, ciekawej lektury i smacznego!

W imieniu redakcji

M. Wojcieszńska



ZDJĘCIE:
AGNIESZKA STEFAŃSKA

SPIS TREŚCI

Ambasada kultury 4

Z KRAJU 4

WYWIAD MIESIĄCA

O filmach „Ojciec” i „Nepela” od kuchni. Rozmowa z operatorem Adamem Suzinem 5

Z NASZEGO PODWÓRKA 8

ROZMOWY NA TEMAT SPORTOWY

Charakterny boks kobiety made in Poland 18

KINO-OKO

Festiwal Polskich Filmów Fabularnych po raz 50. 20

CZUŁYM UCHEM

Utkane z pasją 22

BLIŻEJ POLSKIEJ KSIĄŻKI

Niepewne granice lepszego życia 22

SOS, CZYLI SYMPATYCZNIE O SŁOWACKI

Trzy miasta, trzy opowieści o pamięci 24

SŁOWACKIE PEREŁKI

Sekret wzgórza 25

RETROHITY

Towar deficytowy – papier toaletowy 26

PIĘKNY TRZYDZIESTOLEK

Moich siedemnaście lat z „Monitorem” 27

Szybciej do Polski

28

ROZMOWY Z NINĄ

Moje rytuały 29

LISTY DO W. List dziewięty

(o świetlikach w kosmosie) 30

MIEDZY NAMI DZIECIAKAMI

Dlaczego liście zmieniają kolor jesienią? 31

PIEKARNIK

Burak – niepozorny król jesieni 32

ŚFREDAKTORKA: Małgorzata Wojcieszńska • REDAKCJA: Agata Bednarczyk, Łukasz Cupal, Andrej Ivanič, Alina Kabele, Alina Kietrys, Natalia Koniecz-Hamada, Ewa Sipos, Magdalena Zawistowska-Olszewska KORESPONDENTI: KOŠICE: Magdalena Smolińska • TREŇCÍN: Aleksandra Krcheň JAZYKOVÁ ÚPRAVA V POĽŠTINE: Maria Magdalena Nowakowska, Anna Porada • GRAFICKÁ ÚPRAVA: Stano Stehlik

ZAKŁADAJÚCA ŚFREDAKTORKA: Danuta Meyza-Marušáková † (1995 - 1999) • VYDAVATEĽ: Poľský Klub • ADRESA: Nám SNP 27, 814 49 Bratislava IČO: 30 807 620 • KORESPONDENČNÁ ADRESA: Małgorzata Wojcieszńska, Senecská 162, 930 41 Kvetoslavov, monitorpolonijny@gmail.com

BANKOVÉ SPOJENIE: Tatra banka č.ú.: SK60 1100 0000 0026 6604 0059 • EV542/08 • ISSN 1336-104X • Redakcia si vyhradzuje právo na redigovanie a skracovanie príspevkov • náklad 550 ks • nepredajné Realizované s finančnou podporou Fondu na podporu kultúry národnostných menšín „Zadanie współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2025 roku”. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im Jana Olszewskiego • Laureat Nagrody im Macieja Płażyńskiego w kategorii redakcja medium polonijnego 2013 • Wydanie 1. 10. 2025



Zaledwie pięć lat po wojnie, 26 września 1950 r., przy pl. Stalina w Bratysławie, w mieście pełnym nadziei i odbudowy, powstała niewielka placówka pod nazwą Nowa Polska.

W niewielkiej sali wśród kilku pótek z książkami, spotykali się entuzjaści i sympatycy współpracy polsko-czechosłowackiej, mający potrzebę budowania mostów poprzez kulturę i sztukę. Trzy lata później siedzibę przeniesiono do budynku przy pl. Słowackiego Powstania Narodowego 27, gdzie znajduje się do dziś. Od tego momentu rozpoczęła się niezwykła podróż, która trwa już 75 lat, czyniąca Instytut Polski w Bratysławie jednym z najważniejszych ambasadorów polskiej sztuki za granicą.

W tamtych latach instytucja ta organizowała wystawy, wieczory literackie oraz spotkania z polskimi twórcami. Choć jej działalność musiała mieścić się w ramach ówczesnej polityki kulturalnej, dla wielu bywalców czytelnia Nowej Polski była miejscem, gdzie mogli sięgnąć po zakazaną literaturę emigracyjną, niezależne publikacje oraz rzetelne informacje o wydarzeniach w Polsce. W 1982 r. instytucja zmieniła nazwę na Polskie Centrum Informacji i Kultury. To właśnie tutaj słowaccy widzowie mogli oglądać najnowsze wówczas polskie filmy, które nie trafiały do szerokiej dystrybucji, a miłośnicy literatury poznawa-



Ambasada KULTURY

li współczesnych polskich autorów. Po aksamitnej rewolucji, gdy otworzyły się nowe możliwości, Polskie Centrum Informacji i Kultury rozpoczęło współpracę z uniwersytetami, teatrami i stowarzyszeniami kulturalnymi. Należy też wspomnieć o jeszcze jednej ważnej dacie – 9 lutego 1994 r., kiedy to placówka stała się

Instytutem Polskim. Od tego czasu nieprzerwanie prezentuje słowackiej publiczności to, co najlepsze w polskiej kulturze i sztuce od literatury i muzyki, przez film i teatr, aż po sztukę wizualną.

Instytut Polski w Bratysławie jest częścią sieci 25 Instytutów Polskich, działających w stolicach i dużych miastach świata. Podlegają one Ministerstwu Spraw Zagranicznych RP i specjalizują się w dyplomacji kulturalnej. Ich misją jest promocja Polski, budowanie dialogu międzykulturowego oraz popularyzacja języka polskiego. Dbają w ten sposób o dwustronną wymianę kulturalną oraz obecność polskiej kultury w życiu społecznym poszczególnych krajów.

Logo Instytutów Polskich, czyli charakterystyczny czerwony ludzik na białym tle, zaprojektowane przez grafika Lecha Majewskiego w 2009 r. zastąpił wcześniejszy znak z piórem.

Na przestrzeni lat Instytut Polski w Bratysławie zgromadził bogatą bibliotekę, liczącą siedem tysięcy książek, w tym przekłady na język słowacki i czeski, a także dziesiątki czasopism. Jego salę przez dziesięciolecia gościły wybitnych polskich artystów, zarówno uznanych klasyków, jak i twórców młodego pokolenia. Na scenie Instytutu pojawiali się polscy muzycy, w tym interpretatorzy muzyki klasycznej, jazzmani, a także artyści



28 sierpnia podczas ćwiczeń przed Air SHOW w Radomiu **ROZBIŁ SIĘ POLSKI SAMOŁOT F-16**; w katastrofie zginął mjr Maciej „Slab” Krakowian jeden z najbardziej utytułowanych polskich pilotów F-16, lider Tiger Demo Team. Major „Slab” był związany z 31. Bazą Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu-Krzesinach. Reprezentował

Polskie Siły Powietrzne na prestiżowych pokazach lotniczych w kraju i za granicą. Miał 35 lat; osierocił żonę i 4-letnich synów bliźniaków.

1 września minęło 86 lat od wybuchu II wojny światowej. Z tej okazji w **UROCZYSTOŚCIACH NA WĘSTERPLATTE** uczestniczył prezydent Karol Nawrocki, premier Donald Tusk, marszałek Sejmu Szymon Hołownia oraz wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Prezydent w swoim wystąpieniu podkreślił, że należy załatwić kwestię reparacji wojennych od państwa niemieckiego. Wyraził też nadzieję, że z polskim rządem będzie prowadził Polskę do czasu bez wojny. Prezydent od-

wiedził też Wieluń w woj. łódzkiej, pierwsze polskie miasto zbombardowane przez Niemców 1 września 1939 r.

3 września prezydent Karol Nawrocki złożył **WIZYTĘ W USA**; w Białym Domu spotkał się z prezydentem Donaldem Trumpem. Amerykański przywódca przekazał, że przelot myśliwców na początku spotkania miał na celu uhonorowanie majora Macieja Krakowiana, pilota który zginął w katastrofie samolotu F-16. Trump nazwał go legendą polskiego lotnictwa.

6 września w wypadku samochodowym zginęła popularna i ceniona dziennikarka Programu III Pol-

skiego Radia **KATARZYNA STOPARCZYK**. Była znana z audycji „Zagadkowa niedziela” i „Myślidziecka 3/5/7”, cieszących się popularnością wśród najmłodszych oraz ich rodziców. Była też autorką książek, reżyserką spektakli teatralnych. Z wykształcenia była muzykiem instrumentalistą, absolwentką Akademii Muzycznej we Wrocławiu. W 2018 r. otrzymała tytuł Mistrza Mowy Polskiej.

W nocy z 9 na 10 września doszło do **WIELOKROTNEGO NARUSZENIA** polskiej przestrzeni powietrznej przez drony. Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych poinformowało, że doszło do tego w trakcie ataku Federacji Rosyjskiej na

teatralni i filmowi, których obecność przyciągała tłumy. Słowacka publiczność miała również okazję oglądać wystawy wybitnych polskich malarzy i grafików od klasyków awangardy po współczesnych twórców sztuk wizualnych. W murach Instytutu odbywały się wykłady, spotkania autorskie, wieczory poetyckie, koncerty, kursy języka polskiego, prezentacje książek oraz spotkania literatów, językoznawców i tłumaczy polskiej prozy i poezji. Instytut aktywnie współpracował również ze słowacką Polonią, współorganizując wystawy słowackich artystów z polskimi korzeniami, spotkania Klubu Polskiego czy bale dla dzieci.

Dziś, po 75 latach działalności Instytut Polski w Bratysławie pozostaje miejscem spotkań i inspiracji. Od wystaw i koncertów, przez pokazy filmowe i spotkania literackie, wciąż buduje mosty między Polską a Słowacją, pokazując, że sztuka i kultura potrafią łączyć ludzi ponad i poza granicami.

Dla mnie IP w Bratysławie to przestrzeń wyjątkowych przeżyć kulturalnych i niezapomnianych spotkań z rodakami. To miejsce, które łączy ludzi, porusza serca i umysły. Jego niezapomnianą twarzą na zawsze pozostanie Pani Teresa Lukáčová, której oddanie i ciepło nadają temu miejscu niepowtarzalny charakter.

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

Ukrainę. Część dronów została zestrzelona. W związku z tą bezprecedensową sytuacją w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego odbyła się odprawa prowadzona przez prezydenta Karola Nawrockiego z udziałem premiera Donalda Tuska. Na nadzwyczajnym posiedzeniu zebrał się też rząd. Premier oraz szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz przedstawili w Sejmie informacje w tej sprawie. Według Tuska służby odnotowały łącznie 19 przekroczeń przestrzeni powietrznej. Szczątki dronów odnaleziono m.in. na terenie województw lubelskiego (tam było ich najwięcej), mazowieckiego, świętokrzyskiego, łódzkiego i warmińsko-mazurskiego. Na wnio-

sek Polski odbyły się konsultacje w ramach art. 4 Traktatu Północnoatlantyckiego. Prezydent zwołał Radę Bezpieczeństwa Narodowego; rozmawiał też z prezydentem USA Donaldem Trumpem. Na wniosek Polski zwołane zostało nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ.

11 września **BIAŁORUŚ ZWOLNIŁA** z więzień 52 osoby, w tym 14 cudzoziemców, w tym trzech obywateli Polski. Wśród uwolnionych nie znalazł się Andrzej Poczobut – dziennikarz i działacz polskiej mniejszości na Białorusi. Od maja 2023 r. odbywa on karę ośmiu lat więzienia w kolonii karnej w Nowopołocku za „wzniesienie, podze-

ganie do nienawiści” i „wzywanie do działań na szkodę Białorusi”.

14 września zmarł biskup senior diecezji drohiczyńskiej **ANTONI PACYFIK DYDYCZ**, przewodniczący Zespołu Pomocy Kościołowi na Wschodzie. Miał 87 lat. W latach 1994-2014 był ordynariuszem diecezji drohiczyńskiej.

15 września ogłoszono, że film „**FRANZ KAFKA**” w reżyserii Agnieszki Holland został polskim kandydatem do Oscara w kategorii najlepszy pełnometrażowy film międzynarodowy.

W dniach 22-24 września prezydent Karol Nawrocki oraz wice-

Rozmowa z operatorem Adamem Suzinem

WYWIAD
MIESIĄCA

O filmach „Ojciec” i „Nepela” od kuchni



Festiwal Filmowy Cinematik w Piešťanach otworzył głośny słowacki film „Ojciec” w reżyserii Terezy Nvotovej, który miał tu jednocześnie swoją słowacką premierę. W ciągu pierwszych dni na ekranach pokonał wszelkie rekordy popularności i liczby widzów, którzy wybrali się do kin. Mało tego, zyskał

on też słowacką nominację do Oscara. Za sukcesem tego obrazu stoi także polski operator filmowy Adam Suzin, z którym spotkałam się na festiwalu Cinematik. Rozmawialiśmy też o jego drugim słowackim filmie, który będzie mieć premierę 30 października. Mowa o filmowej biografii słowackiego tyżwiarza figurowego Ondreja Nepeli.

premier, szef MSZ Radosław Sikorski wzięli udział w **80. SESJI ZGROMADZENIA OGÓLNEGO ONZ**. Prezydent w wystąpieniu podczas debaty generalnej mówił, że Polska zawsze będzie odpowiednio reagować i jest gotowa do obrony swojego terytorium. Jak dodał, nie ma zgody na to, by Moskwa dokonywała aktów prowokacji wobec Polski i innych krajów Europy. Szef MSZ, mówiąc o wtargnięciu rosyjskich myśliwców w przestrzeń powietrzną Estonii, podkreślił: „Jeśli kolejna raketa lub statek powietrzny zostanie zestrzelony, nie przychodźcie tu ze skargami, zostaliście ostrzeżeni”.

MP

Który to Twój wywiad w życiu?
Po Wenecji to będzie drugi.

W Wenecji „Ojciec” miał światową premierę. Jakie wrażenia?

To nieźla przygoda. I ta premiera, i ten intensywny czas w mojej pracy, bo na Słowacji właśnie kończyłem zdjęcia do innego słowackiego filmu.

O „Nepeli” porozmawiamy za chwilę, teraz o Tobie, czyli o człowieku, o którym w 2018 r. polskie media pisały jako o świetnie zapowiadającym się młodym artyście, w którym pokładano nadzieje. Te zapowiedzi się spełniły?

Tak, spełniły się. Na pewno spełniło się moje największe marzenie, by zrealizować pełnometrażowy film fabularny jako autor zdjęć. Nie mogłem sobie wymarzyć lepszej premiery takiego filmu niż ta, która miała miejsce w Wenecji.

Spotykamy się w Piešťanach, gdzie film „Ojciec” otwiera festiwal Cinematik i tu ma słowacką premierę. Jest stres?

Stres zawsze jest, bo to nie jest łatwy w odbiorze film. Projekcja w Wenecji pokazała, że nawet dla mnie, a byłem na planie i znałem scenariusz, odbiór tego filmu przed publicznością nie był łatwy.

Będziesz oglądać ten film wraz ze słowacką publicznością?

Myślę, że nie. Tego filmu można doświadczyć raz. Jeszcze cały czas rezonuje we mnie poruszany w nim temat po projekcji w Wenecji.

Co Cię przekonało, żeby podjąć współpracę przy tym filmie?

Zostałem zaproszony na spotkanie z Terezą (Nvotová – przyp. od red.) przez polskiego koproducenta filmu, firmę Lava Films.

Dlaczego Ty?

Jeszcze w szkole filmowej w Łodzi na III roku nakręciłem film dyplomowy Marty Prus, który był filmem 30-minutowym, zrealizowanym za pomocą jednego ujęcia. Ten film został

zapamiętany. Wiedząc, że Tereza chce zrealizować film w podobnej formule, w długich ujęciach filmowych, przypomniano sobie o mnie. Z Terezą spotkaliśmy się online i od razu między nami zaiskrzyło. Poczułem się odpowiednią osobą, żeby wesprzeć jej wizję. Wydaje mi się, że Tereza też odczuła, iż jestem osobą, która nie będzie się bała podjąć takiego wyzwania i technicznych trudności, które wiążą się z tak skomplikowaną realizacją.

O jakich technicznych trudnościach mowa?

W czasie naszych rozmów i przygotowań z Terezą, przechodziliśmy procesem, który nie był oczywisty. Realizacja takiego długiego ujęcia wymaga dużego logistycznego przygotowania i spojrzenia na film w ramach dramaturgii wizualnej, co dany ruch kamery lub konkretna inscenizacja ma przedstawiać. Jeżeli chodzi o technologiczne zagadnienia, to był to film najbardziej zaawansowany, ponieważ każda sekwencja wymagała zupełnie innego podejścia, począwszy od użytej techniki, poprzez wykorzystanie ruchu kamery i dopasowanie atmosfery sceny do temperatury emocjonalnej filmu.

Przeciętny amerykański film ma 20 ujęć na minutę. Ile ich jest w Waszym filmie?
Na ten film składa się 10 sekwencji.

Po co stosuje się taki zabieg?

Aby widz odczuwał rzeczywistość wspólnie z bohaterami. Zdecydowaliśmy się na taką kamerę, która podąża, a takie długie ujęcia zwiększają wagę cięcia materiału filmowego. Ono nabiera tu innego znaczenia. To cięcie posłużyło nam do zaburzenia chronologii, zerwania czasu nici zdarzeń, nabrało dodatkowego znaczenia w dramaturgii filmu.

Jak Ci się współpracowało ze słowackimi aktorami i reżyserką?

Wyśmienicie!

Tego filmu można doświadczyć raz.

Była bariera językowa?

Tu ona nie istnieje, ponieważ jesteśmy bardzo podobnymi kulturowo narodami. Z reżyserką rozmawialiśmy po angielsku, natomiast z częścią ekipy swobodnie: ja po polsku, oni po słowacku.

Jak długo kręciliście ten film?

Łącznie to było 17 dni zdjęciowych, z czego połowę czasu zajęły nam próby. Żeby tak skomplikowane ujęcia przygotować trzeba tyle samo czasu poświęcić na próby, bez pełnej charakterystyki, ale z pełną ekipą techniczną i w lokacjach, gdzie kręciliśmy. Trzeba było też wziąć pod uwagę czas przemieszczania się bohaterów z jednej lokacji do drugiej. Przejazd z jednej do drugiej lokacji nie mógł trwać zbyt długo, żeby widza nie zanudzić, a film był jeden do jednego rzeczywistością. To jest wyzwanie, by tę rzeczywistość tak zagęścić, by widz czuł więź z bohaterem.

Czego wymaga taka praca od operatora?

Na pewno dużej sprawności fizycznej.

Ćwiczysz codziennie?

Może nie codziennie, ale mam dobre podstawy, ponieważ trenowałem akrobatykę sportową, jeździłem na deskorolce, a sport jest częścią mojego życia. Przed rozpoczęciem zdjęć do filmu dużo się wspinałem, dzięki czemu mogłem się przygotować nie tylko fizycznie, ale i pobudzać wyobraźnię. Ten film zakładał nie tylko podążanie za bohaterem, ale także wejście w jego stan psychiczny. Jak można dostrzec na ekranie, poza kamerą obserwującą, idącą z bohaterem, staraliśmy się wzbogacić film o spojrzenie w głąb jego umysłu, żeby zrozumieć, jakich stanów doświadczał tytułowy ojciec, spotykając się z bardzo mocnym traumatycznym przeżyciem.

Poczułem się odpowiednią osobą, żeby wesprzeć jej wizję.

Można uznać Cię za specjalistę od tego typu filmów na kilka ujęć?

Na pewno jest to metoda mi bliższa, ponieważ wiąże się z filmem dokumentalnym, który sam w sobie zakłada bliskość z rzeczywistością. Filmu pełnometrażowego, który byłby realizowany tą metodą, w Polsce nie widziałem. Na pewno w świecie nie byliśmy pierwsi. Nie traktuję tego jako coś innowacyjnego, bo ta metoda jest wykorzystywana od lat.

Patrząc na olbrzymi sukces serialu „Dojrzewanie”, wyprodukowanego przez platformę Netflix, w którym każdy godzinny odcinek był realizowany na jedno ujęcie, nasuwa się myśl, że ta metoda jest teraz w modzie. Najwyraźniej powraca.

Jedziesz na rozdanie Oscarów do Los Angeles?

Zobaczmy, miło by było. Trzymam kciuki, żeby film znalazł się na krótkiej liście kandydatów. Super będzie, jeśli trafi do jak największej widowni, bo dotyczy tematu z pierwszych stron gazet i doświadczenia niemałej liczby ludzi. Dobrze, aby ten temat był dyskutowany i żeby ludzie wiedzieli, na czym polega syndrom zapomnianego dziecka.

Wiedziałeś o istnieniu Ondreja Nepeli?

Nie, dowiedziałem się w momencie przeczytania scenariusza i obejrzenia dokumentu o nim na YouTube.

Co było pierwsze:

„Ojciec” czy „Nepela”?

Po skończeniu zdjęć do „Ojca” przystąpiłem do realizacji zdjęć do „Nepeli”. Ja to postrzegam jako zbieg różnych okoliczności i bardzo się cieszę, że te propozycje do mnie trafiły. Film o Nepeli dotyczy sportowca, a ten temat jest mi dosyć bliski ze względu na moją sportową przeszłość, a także dlatego, że sport daje dużą przestrzeń do opowiadania kamerą.

To też film na kilka ujęć?

Nie, to zupełnie inna formuła, z czego się cieszę, bo przyznam, że „Ojciec” był dużym wyzwaniem operatorskim. Podjąłem się go, ale w tak krótkim czasie nie chciałbym powtarzać tego doświadczenia. Cieszę się, że film „Nepela” zakładał zupełnie inny rodzaj realizacji.

Jaki?

Klasyczny. Ale jest w nim pewien aspekt magicznego realizmu, w którym znalazła się przestrzeń na mniej klasyczne opowiadanie kamerą.

Musiałeś podczas zdjęć jeździć na łyżwach?

Na dokumentacjach jeździłem na łyżwach, ale na realizację zdjęć zaprosiłem swojego dobrego kolegę sprzed lat, z którym kiedyś rywalizowałem na różnych zawodach akrobatycznych. Maciek Tomków operuje kamerą ze steadicamu, ale też świetnie jeździ na rolkach i na łyżwach.

Który film jest ciekawszy, bliższy Twojemu sercu: „Ojciec” czy „Nepela”?

W momencie podjęcia się pracy nad filmem, trzeba w nim odnaleźć jakąś część siebie i ja w obu tych filmach tę część starałem się odnaleźć. Film „Ojciec” opowiada o trudnych emocjach; musiałem wejść w skórę bohatera, żeby o nim opowiedzieć kamerą. Bardzo się cieszyłem, że film „Nepela” posiada wątek dramatyczny i jest o poszukiwaniu wolności. Tak naprawdę te filmy są z różnych światów, jeden dzieje się współcześnie, drugi jest biografią, więc trudno je porównać. Gdybym miał powiedzieć, jakie filmy chciałbym, żeby do mnie trafiały, to właśnie takie, ponieważ niosą ze sobą prawdę.

Przenosisz się do Bratysławy?

Do tej pory spędziłem tu dwa lata, z pewnymi przerwami. ►►

Filmu pełnometrażowego, który byłby realizowany tą metodą, w Polsce nie widziałem.



Witaj wśród nas!

Przyznam, że bardzo mi się tu podoba, szczególnie otoczenie gór. Ze względu na moją pasję wspinaczkową, na pewno bym się tu odnalazł. No i są tu bardzo ciekawi twórcy. Szkoła filmów słowackich też jest bogata, co widać po młodych, którzy wchodzi w świat filmu ze swoim mocnym językiem filmowym. Życzyłbym sobie, żeby właśnie takie projekty do mnie trafiały, żebyśmy mogli wspólnie łączyć kultury i zamykać je w formie filmów.

Na co liczysz teraz?

Jestem ciekaw, co kolejny zbieg okoliczności czy przypadek przyniesie. Obiecałem sobie, że jeśli przyjdzie kolejny film słowacki, to nauczę się mówić po słowacku. Chciałbym w ten sposób odpowiedzieć na to, jak zostałem tu przyjęty – z otwartymi ramionami – więc chciałbym dać też coś z siebie.

MAŁGORZATA WOJCISZYŃSKA, Piešťany



ZDJĘCIE: STANO STEHLIK



ZDJĘCIE: STANO STEHLIK

XX Festiwal Filmowy Cinematik w Piešťanach za nami. W ciągu sześciu dni (10 - 15 września) można było obejrzeć 100 filmów oraz wziąć udział w licznych imprezach towarzyszących. Pełne sale kinowe, ponad 22 tysięcy widzów, wspaniała atmosfera, a przede wszystkim filmy, które nie pozostawiają widza obojętnym. Nad niektórymi pracowali także Polacy.

„Co roku w naszym programie prezentowaliśmy świetne polskie filmy, na przykład Wojciecha Smarzowskiego, w ubiegłym roku *Zieloną granicę* Agnieszki Holland, w tym roku chcieliśmy pokazać jej film *Franz Kafka*, ale niestety nie udało nam się go pozyskać” – mówił PR menager Filmowego Festiwalu Cinematik Peter Konečný, podsumowując w skrócie obecność polskich filmów na tymże festiwalu, który w tym roku odbył się po raz 20. I choć jubileuszowa edycja nie przyniosła typowo polskich filmów, to polskich twórców i tak mogliśmy na nim okłaskiwać.

Mocny polski akcent towarzyszył otwierającemu festiwal słowackiemu filmowi „Ojciec” w reżyserii Terezy Nvotovej. „W naszej grupie twórców mieliśmy, oprócz Słowaków, także Polaków i Czechów. Z Polski wybrałam operatora Adama Suzina i montażystę Nikodema Chabiora” – mówiła reżyserka, dodając, że montażysta nie tradycyjnie był także obecny na planie filmowym, by od razu tam podejmować decyzje dotyczące odpowiednich ujęć, których nie trzeba było ciąć po nakręceniu materiału filmowego. „Zdecydowaliśmy się na realizację tego fil-

mu za pomocą kilku długich ujęć, więc ci dwaj panowie byli dla mnie absolutnie najważniejsi w trakcie jego kręcenia” – wyjaśniła. Przygotowania do zdjęć trwały długo, ponieważ w długich ujęciach, jak mówi Nvotová, każda sekunda musiała być zagospodarowana. „Wiele razy musieliśmy wymyślać technologiczne sposoby, jak dane ujęcie nakręcić, ponieważ to nie było proste ani jasne. Film nie jest nakręcony z ręki Adama – kamera jest podawana np. z dźwigu na ronin (stabilizator kamery – przyp. od red.), czego widz nie jest w stanie zauważyć” – wyjaśniała, podkreślając wagę współpracy z operatorem (więcej w wywiadzie z Adamem Suzinem na str. 5).



ZDJĘCIE: STANO STEHLIK

Cztery intrygujące filmy z CINEMATIKU



„Ojciec“

O czym jest film „Ojciec” w reżyserii Terezy Nvotovej? To historia ojca (w tej roli Milan Ondřík, któremu partneruje Dominika Morávková), który w natłoku obowiązków zapomina odprowadzić dziecko do przedszkola. Córka pozostawiona w upalnym dzień w samochodzie umiera. Film opowiada o tragedii rodziny, traumie ojca i o linczu społeczności, która od razu decyduje o winie bohatera.

Inspiracją do nakręcenia obrazu były wydarzenia z Nitry, gdzie przed laty miała miejsce podobna sytuacja, ale też wiele innych, które w świecie się zdarzyły, a które zostały zdiagnozowane jako syndrom zapomnianego dziecka. Mocne kino, warte uwagi. Ten film został słowackim kandydatem w walce o Oscara.



„Chórmistrz“

Kolejny film, także zainspirowany faktami, to czeski obraz „Chórmistrz” w reżyserii Ondřeja Proházky (w słowackich kinach pod tytułem Zbor-majster). W tytułowego chórmistrza wcielił się świetny słowacki aktor Juraj Loj. Kanwą filmu stała się historia słynnego chóru Bambini di Praga, na czele którego stał Bohumil Kulin-ský, który wykorzystywał nieletnie dziewczęta (obwiniono go w 49 przy-

padkach, w 19 sąd uznał go winnym). Nastolatki konkurowały między sobą, by spodobać się dyrygentowi i zyskać miejsce na wyjazd do USA. Narratorką tej opowieści jest jedna z dziewcząt.

Film naprawdę wart uwagi, dający do myślenia, szczególnie rodzicom, by byli świadomi, komu powierzają swoje dzieci na zajęciach pozalekcyjnych.



„Pan Nikt kontra Putin“

Podczas festiwalu Cinematic pokazano także szereg bardzo ciekawych filmów dokumentalnych, z których dwa szczególnie zapadły mi w pamięć. Pierwszy z nich to „Pan Nikt kontra Putin” w reżyserii Davida Borensteina i Pashy Talankina, który miał premierę na Festiwalu Filmowym Sundance w 2025 r., gdzie zdobył specjalną nagrodę jury.

Narratorem jest nauczyciel z małego miasteczka na Uralu, filmujący swoich uczniów. Po inwazji Rosji na Ukrainę oczekiwania władz wobec szkoły ulegają radykalnej zmianie: promowany jest historyczny rewizjonizm i specyficznie pojmowany patriotyzm, a ukształtowani poprzez te idee absolwenci szybko wcielani są do wojska i wysyłani na front. Film stanowi niepokojącą opowieść o przemianie rosyjskiej szkoły w ośrodek państwowej propagandy i indoktrynacji, o zacieraniu się granic między edukacją a militaryzacją.

Dokument powstał oczywiście w ukryciu, a jego autor w tajemnicy opuścił swój kraj.



„Wielka wycieczka patriotyczna“

Drugi film dokumentalny, który wywarł na mnie olbrzymie wrażenie, to słowacka „Wielka wycieczka patriotyczna” (*Veľký vlastenecký výlet* – film można oglądać w słowackich kinach) w reżyserii Robina Kvapila.

Kamera towarzyszy trzem bohaterom, wyruszającym z Czech na Ukrainę. Nie są to jednak zwykli wycieczkowicze, ale osoby, wybrane z 60 - ciu, którzy odpowiedzieli na ogłoszenie: „Myślicie, że wojna na Ukrainie to oszustwo? Że media kłamią o liczbie zabitych i konsekwencjach specjalnej operacji wojskowej na Ukrainie?”. To ludzie, którzy nie postrzegają siebie jako zwolenników Putina. Widz obserwuje ich reakcje podczas kilkudniowego pobytu w Donbasie, gdzie na własne oczy widzą efekty bombardowań, rozmawiają z Ukraińcami, biorą udział w lekcjach, prowadzonych w schronach, i w pogrzebach żołnierzy, którzy zginęli na froncie. Mocne, bardzo mocne obrazy zniszczonego przez wojnę kraju i ludzi, ale czy to wystarczy, by przekonać niedowiar-ków, dla których Putin jest idolem?

Słowaccy widzowie XX Festiwalu Filmowego Cinematic zdecydowali, że właśnie ten film zyskał nagrodę publiczności.

Żyjemy w ciekawych czasach, co odzwierciedla także światowa kinematografia. To, co Państwu zaprezentowałam, to tylko jej mały wycinek. Warto jednak zauważyć, iż trzy z tych filmowych perełek zostały zrealizowane przez Czechów i Słowaków (jeden z pomocą Polaków).

MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA, Piešťany

Wydarzenie to odbyło się w Bratysławie już po raz ósmy, a w Polsce i na świecie – po raz czternasty. Świadczy to niewątpliwie o wielkim sukcesie akcji, zapoczątkowanej w 2012 r. przez prezydenta Bronisława Komorowskiego, oraz nieustannym zapotrzebowaniu na promowanie i przybliżanie polskiej literatury. O czym mowa? Oczywiście o Narodowym Czytaniu.



W tym roku Instytut Polski, który realizuje to wydanie na Słowacji nieprzerwanie od 2018 r., zaprosił do współpracy korpus dyplomatyczny Ambasady RP w Bratysławie. Ta decyzja okazała się niezwykle trafna, bowiem stery nad organizacją akcji przejęła Teresa Samerek, niegdyś nauczycielka lokalnej szkoły polskiej, mająca wielkie serce do literatury i poezji polskiej. A skoro bohaterem tegorocznej edycji był sam wielki Jan Kochanowski ze swoimi pieśniami, fraszkami i trenami, nie mogło być lepszego połączenia.

Pani Teresa zadbała o najdrobniejsze szczegóły – przemyślany dobór utworów mistrza z Czarnolasu, stanowiący wyczerpujący przekrój jego twórczości, efektowną sce-



nografię oraz wnikliwą, pouczającą narrację, która nawet najbardziej opornemu odbiorcy poezji byłaby w stanie przybliżyć postać najsłynniejszego poety polskiego renesansu.



skiego Agnieszka Kwiatkowska, chargé d'affaires ad interim Ambasady RP Piotr Samerek oraz dyplomaci: Monika Langiewicz, Barbara Jabrzyńska-Fijolek, Anna Rybkowska i Mariusz Gitler.



Poszczególne wiersze z pasją i zaangażowaniem odczytali członkowie korpusu dyplomatycznego Ambasady RP w Bratysławie. Obok głównej organizatorki byli to: dyrektor Instytutu Pol-



Wydarzenie uświetnił swoją obecnością również gość specjalny – były ambasador Republiki Słowackiej przy Stolicy Apostolskiej oraz wieloletni konsul generalny Słowacji w Krakowie Marek Lisánsky, który brawurowo poradził sobie z niełatwą szesnastowieczną polszczyzną we fraszce „Do gór i lasów”.



pomogą nam przetrwać oczekiwanie na przyszłoroczną edycję Narodowego Czytania.

W tym miejscu warto wspomnieć jeszcze jak zawsze nieocenioną Teresę Lukáčovú, która od lat nieustrudzenie czuwa nad przebiegiem Narodowego Czytania z ramienia Instytutu Polskiego i przybliża Pola-



ZDJĘCIA: STANO STEHLIK

Ciekawym elementem były pieśni Kochanowskiego wykonane w formie muzycznej – skomponowała je i zaśpiewała Natalia Konicz-Hamada. Ostatnim składnikiem, który w niesamowicie subtelny sposób spiął ni czym kłamrą poszczególne utwory, był akompaniament Mariána Hamady.

Po tak pięknej prezentacji twórczości Jana Kochanowskiego, ma się ochotę na więcej. Z pewnością warto sięgnąć po inne jego wiersze, ale i współczesna polska poezja i literatura



kom mieszkającym na Słowacji polskich pisarzy i poetów. Takich ludzi i wydarzeń potrzeba nam jak najwięcej!

NKH

Znaki sztuki

Na początku września w galerii Instytutu Słowackiego w Warszawie odbył się vernisaż wystawy „Znaki sztuki”.

Rozpoczął się wystąpieniem kuratorki Miroslavy Repiskiej oraz jednego z autorów prezentowanych prac Jána Raški i dyrektora Instytutu Milana Novotnego.

Początkowo współautorzy projektu „Znaki sztuki” chcieli jedynie połączyć artystów różnych pokoleń, o różnych poglądach i zapatrywaniach artystycznych we

wspólnym eksperymencie, polegającym na przekształceniu starych znaków drogowych w autonomiczne obiekty sztuki.

Pierwotny, spontaniczny pomysł stopniowo przekształcił się w szeroko zakrojony projekt, w którym biorą udział nie tylko artyści malarze, ale także ci, zajmujący się rzeźbą, muzyką, filmem i projektami wideo, np. malarz Daniel Brunovski, rzeźbiarz Mirosław Tomáška, kom-

pozytor Slavo Solovic i reżyser filmowy Martin Šulík. Motyw przewodni nie jest z góry określony, artyści są determinowani jedynie rozmiarem i formatem znaku, na którym prezentowana jest ich twórczość.

IS



ZDJĘCIA: INSTYTUT SŁOWACKI W WARSZAWIE



SKALNI

zachwycili publiczność

Tegoroczny XXXI Dubnicki Festiwal Folklorystyczny za nami. Ostatnie dni sierpnia w Dubnicy nad Wagiem zwykle rozbrzmiewają śpiewem, są roztańczone, pełne kolorów, ponieważ wtedy właśnie odbywa się tu największy w regionie festiwal folklorystyczny. Elementem festiwalu są Dni Folkloru Polskiego, organizowane przez Klub Polski. W tym roku zaproszenie przyjął studencki Góral-ski Zespół Folklorystyczny „Skalni” z Krakowa.



historię występów nie tylko w Polsce, ale także za granicą – na festiwalach folklorystycznych w różnych krajach Europy. Ich poziom artystyczny jest wysoki, co potwierdzają zdobyte nagrody na festiwalach śpiewu, tańca i muzyki.

Czym jest festiwal dla Dubnicy nad Wagiem?

Dubnicki Festiwal Folkloru, który w tym roku odbył się w dniach 28-31 sierpnia, to wydarzenie oferują-

ce program na terenie całego miasta – w parkach, na dziedzińcu dworku, na ulicach centrum oraz na scenach w domach kultury. W jego ramach miały miejsce też warsztaty twórcze dla dzieci, parady folklorystów, występy zespołów dziecięcych, jarmark z tradycyjną muzyką ludową, tańcami, śpiewem i oczywiście wieczornymi programami galowymi.

Skalni prezentowali sztukę w całym mieście

Podczas festiwalu Skalni wystąpili na kilku scenach, przyciągając uwagę mieszkańców i gości z innych regionów. Energiczny taniec w ich wykonaniu, autentyczne kostiumy i precyzyjne wejścia wokalne spotkały się z ogromnym entuzjazmem i aplauzem publiczności. Obecność tej polskiej grupy wzbogaciła festiwal nie tylko jakościowo, ale także w wymiarze międzynarodowym, pozwalając widzom porównać folklor słowacki z polską tradycją góralską i podkreślając więzi kulturowe między regionami.

Atmosfera i ranga wydarzenia

Dni Polskiego Folkloru wniosły do Dubnicy nad Wagiem silną dawkę ludowej autentyczności, a także poczucia przynależności. Festiwal potwierdził, że folklor może jednoczyć ludzi – młodych i starych, tubylców i obcokrajowców. Oprócz aspektu artystycznego festiwal ma ogromne znaczenie społeczne: jest miejscem spotkań, wymiany doświadczeń, dzielenia się tradycjami, ale także miejscem prezentacji folkloru jako żywej i wciąż aktualnej części dziedzictwa kulturowego.

MAREK BERKY

Kim są Skalni?

Skalni to prestiżowy zespół folklorystyczny działający przy Uniwersytecie Rolniczym im. Hugona Kołłątaja w Krakowie. Został założony w 1952 r. przez studentów górali, którzy tu studiowali. Od początku istnienia zespół budował program oparty na tradycyjnej kulturze tatrzańskiej i innych regionów górskich, łącząc śpiew, taniec, muzykę i elementy obrzędowe. Skalni mają na swoim koncie bogatą



ZDJĘCIA: SLÁVKA GAJDOŠIKOVÁ



Słońce, cisza, spokój i pięknie brzmiące na delikatnym wietrze głosy. Głosy, które czytają bajki dzieciom. Wszystko to miało miejsce 5 września w pięknym parku przy Bibliotece Wojewódzkiej w Żylinie, gdzie odbyło się „Wielkie czytanie dla dzieci z Bonitą”, którego inicjatorką i organizatorką była prezes Stowarzyszenia „Bonita” Silvia Subiak Wtoreková.

W wydarzeniu uczestniczyła małżonka ambasadora pani Teresa Samerek, która



Aby uatrakcyjnić wydarzenie, przygotowano dla dzieci quiz z nagrodami, dzięki czemu najmłodsi uczestnicy spotkania wychodzili z niego obdarowani kolorowanymi ze Smokiem Wawelskim lub cesarżową Marią Teresą, a także kartami czytelnika biblioteki. Na koniec goście zebrali się wokół pięknie udekorowanego stołu z poczęstunkiem.

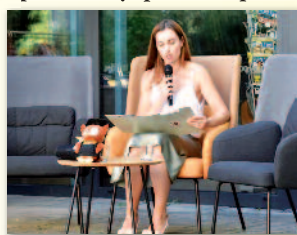
„Czytanie na głos wspiera koncentrację i ćwiczy pamięć, a temu sprzyjał proponowany quiz” – napisała



ZDJĘCIA: ARCHIWUM BONITY

zaproszonych znajdowali się także prezydent Kysuckiego Nowego Miasta Marián Mihalda, burmistrz Rudiny Marián Hutyr, a także inni przedstawiciele szkół podstawowych i przedszkoli, których powitała dyrektor biblioteki Katarína Šušoliaková.

Tego dnia żylińskiej biblioteczki przekazano książki, które Polskemu Przedszkolu podarowała Książnica Beskidzka w Bielsku Białej.



w mediach społecznościowych po wydarzeniu pani Teresa Samerek, chwając inicjatywę skupionej w Bonicie żylińskiej Polonii.

RED.



w Żylinie i aktywni członkowie Bonity przeczytali też znaną polską legendę o Smoku Wawelskim, natomiast Natália Sabo Hanusová historię o sowie, która występuje w logo Bonity. „Sowa jest symbolem mądrości, o czym publiczności nie trzeba przekonywać” – skwitował obecny jako gość ambasador Piotr Samerek. Wśród osób

przeczytała „Bajkę o Teresce, która nie bała się zmian”. Czytaniu towarzyszyły także efekty dźwiękowe, które pozwoliły dzieciom wejść głębiej w świat dziecięcej literatury, jak i wzrokowe – w postaci zdobiących wejście do parku ilustracji autorstwa zwycięzczyń konkursu plastycznego zorganizowanego przez Bonitę, czyli Emi Ondreašovej i Alžbety Bajánkovej, a także samej organizatorki Silvii Subiak Wtorekovej.

W ramach wydarzenia dzieci z Polskiego Przedszkola



Điękujemy Lucii Hlavčovej za książki oraz za przygotowanie quizu, Bibliotece Wojewódzkiej w Żylinie za prezenty dla zwycięzców, Katarzynie Ruchale za przekazanie książek z Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej oraz Renacie Strakowej z Klubu Polskiego z Trenčyna za książki dla dzieci.



W POLSKIM PRZEDSZKOLU W ŻYLINIE

Początek roku szkolnego to ważny dzień dla dzieci z Polskiego Przedszkola w Żylinie, których po waka-

cjach przybyło. Jest ich obecnie 15 i mają od 3 do 15 lat. Nikogo nie dziwi, że na zajęcia ze swoim młodszym rodzeństwem uczęszczają także nastolatki, gdyż wszyscy czują się tu jak w rodzinie. Maluchy i ich rodziców przywitały przewodnicząca Bonity Silvia Subiak Wtoreková oraz nauczycielka Agnieszka Havlová.

Uwagę zwracał plakat powitalny z napisem: „Witaj,



szkoło”, przygotowany z entuzjazmem przez Leę i Beatkę, uczennice Polskiego Przedszkola.

W trakcie zajęć okazało się, że polskie słownictwo, dotyczące przyborów szkolnych, nie jest dla dzieci nieznane, ale dla wielu zaskoczeniem była odwrotna skala szkolnych ocen. Zdziwieni tym faktem byli też niektórzy rodzice.



Uczestnicy zajęć świetnie się bawili, a w części praktycznej opracowali swój idealny plan zajęć, ćwicząc przy okazji polskie słowa.

Ze spotkania nie wyszli z pustymi rękoma, ponieważ przewodnicząca Silvia Subiak Wtoreková przygotowała dla nich pakiety powitalne, zawierające przybory szkolne.

Witaj, szkoło! Witajcie, uczniowie!

RED.



FOTO: ARCHIWUM BONITY

Projekt zrealizowany ze wsparciem finansowym Funduszu wspierającego kulturę mniejszości narodowych, Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie (dofinansowano przez Instytut Rozwoju Języka Polskiego ze środków Ministra Edukacji Narodowej). Nowa pomoc edukacyjna dofinansowana przez ORPEG

Rozpoczęcie roku szkolnego w Szkole Polskiej w Bratysławie



W sobotę, 6 września 2025 r. w Szkole Polskiej im. Jana Pawła II przy Ambasadzie RP w Bratysławie zainaugurowano nowy rok szkolny 2025/2026.



Tegoroczne rozpoczęcie roku miało wyjątkowy charakter – zostało połączone z ogólnopolską akcją Narodowego Czytania, której patronem w 2025 roku jest Jan Kochanowski, jeden z najwybitniejszych twórców polskiego renesansu.

Akcja Narodowe Czytanie została zainicjowana w 2012 r. przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Jej celem jest popularyzacja klasyki literatury polskiej, zachęcanie do wspólnego czytania oraz ukazywanie bogactwa naszego języka i kultury. Od początku istnienia przedsięwzięcie to zyskuje szeroki oddźwięk zarówno w Polsce, jak i w środowiskach polonijnych na całym świecie. Szkoła Polska w Bratysławie od lat aktywnie włącza się w tę inicjatywę, podkreślając w ten sposób wagę pielęgnacji języka ojczystego i tradycji narodowych wśród młodego pokolenia Polaków mieszkających za granicą.

Słowo wstępne wygłosił konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Bratysławie Artur Łukiańczuk, który zwrócił uwagę na nieocenioną rolę czytania w kształtowaniu tożsamości narodowej, rozwijaniu wyobraźni oraz budowaniu wspólnoty.

Program tegorocznego czytania przygotowała nauczycielka języka polskiego, Marzanna Danek Hnelozub. W jego ramach wybrane utwory Jana Kochanowskiego zaprezentowali nauczyciele Szkoły Polskiej: Bożena Miczek Majka Krzysztof Gruca, ks. Krystian Piotrowski.

Serdecznie dziękujemy uczniom, rodzicom, nauczycielom oraz wszystkim gościom za wspólne rozpoczęcie nowego roku szkolnego. 2025/2026. Mamy nadzieję, że będzie on pełen sukcesów, radości z nauki oraz dalszego umacniania wspólnoty szkolnej. **RED.**



ZDJĘCIA: ANNA SKOWRON BELKO



Po wakacjach w Klubie Małego Polaka

ZDJĘCIA: NATALIA KONICZ-HAMADA, SILVIA BÍZIKOVÁ



Rok szkolny 2025/2026 w Klubie Małego Polaka oficjalnie rozpoczęły! I choć letnie miesiące upłynęły klubowiczom wspólnie, to równie wspaniale

było spotkać się na pierwszych wrześniowych zajęciach w Klubiku.

W tym roku grupa przedszkolaków liczy 13 dzieci, z czego dwoje najstarszych przygotowuje się do pójścia za rok do szkoły, a dwoje najmłodszych dopiero rozpoczyna swoją przygodę z edukacją przedszkolną. Troje dzieci należy do Klubu Małego Polaka już trzeci rok!

Dzięki wsparciu finansowemu ze strony Ambasady RP w Bratysławie oraz słowackiego Funduszu wspierającego kulturę mniejszości narodowych Kultminor

dzieci mają do dyspozycji przeróżne pomoce edukacyjne oraz materiały kreatywne, z których podczas każdych zajęć wyczarowują swoje małe dzieła sztuki. Na jednym z trzech wrześniowych spotkań doszło nawet do tego, że klubowicze odmówili wyjścia na dwór, bowiem tak mocno pochłonięła ich praca twórcza!

Podczas wspólnych zajęć z pewnością nikt się nie nudzi. W minionym miesiącu dzieci rozmawiały o tym, jak należy zachowywać się w grupie, o symbolach jesieni i o nazwach dni tygodnia. Ćwiczyły też umiejętność pracy z nożyczkami, bawiły się w przeróżne gry i – podobnie jak w ubiegłych latach – odbywały dy-



żur „kwiatkowy”, w ramach którego podczas każdych zajęć jedno z dzieci podlewa klubikowy kwiatek. Nie zabrakło również boćka Maćka, który także i w tym roku wędruje po domach maluchów.

Po każdym takim wspólnym tygodniu dzieci wraz z rodzicami opisują wspólne przeżycia w przeznaczony do tego „Księżde przygód boćka Maćka”.

Jak to dobrze być znowu razem! Rozmawiać, żartować, bawić się, śpiewać. A to wszystko po polsku, by wspierać kontakt naszych najmłodszych Polonusów z językiem ich rodziców i dziadków.

NKH





Wiecie, kim byli ci ludzie?

„Każdy wie, że ktoś uciekł, ale mało kto wie, jaki to miało efekt, jaka za tym stała historia i co spowodowała” – tak reaguje reżyser David Paška, gdy go pytam o Vrbę, Wetzlera, Schulman czy Luxa. A Wy wiecie, kim byli ci ludzie?



„Nasi polscy współpracownicy nie wiedzieli nic o Vrbie i Wetzlerze, tak samo jak my nie wiedzieliśmy nic o Fay Schulman czy o Stefanie Luksie” – mówi Paška. Po co nam ta wiedza? Otóż osoby te to bohaterowie przedstawienia, które David Paška, młody słowacki reżyser, wyreżyserował. Żyli one na Słowacji, w Polsce i w Niemczech. Łączy je pochodzenie żydowskie i to, że przyszło im żyć w okresie nasilającego się nazizmu.

Nie, bez obaw, to nie nudna opowieść, choć czasy mroczne.

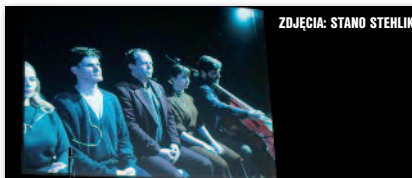
Trzy kraje

Przedstawienie składa się z trzech opowieści, realizowanych w trzech krajach: w Polsce – w Teatrze im. Jana

Kochanowskiego w Opolu, na Słowacji – w Teatrze Jána Palárika w Trnawie oraz w Niemczech – w Digital Theatre Academy w Dortmundzie. „Inscenizacja *Negatyw: Wetzler, Vrba, Schulman, Lux* pracuje na bazie transmisji na żywo z jednego teatru do drugiego, konkretnie z naszego trnawskiego teatru do Teatru Jana Kochanowskiego w Opolu. To samo, co widzą widzowie w Polsce, widzi na żywo publiczność w Trnawie i odwrotnie. To taka wyjątkowa wartość dodana do tych artystycznych wrażeń” – opisuje Zuzana Hekel, dyrektor Teatru Jána Palárika w Trnawie.

Teatr jak telewizja informacyjna

Jak to wygląda, gdy widz siedzi w teatrze? Będąc w Trnawie, oglądałam słowackich aktorów na scenie, polskich i niemieckich na ekranie.



ZDJĘCIA: STANO STEHLIK



Ten nowatorski sposób zrobił na mnie duże wrażenie, ponieważ czułam się, jakbym oglądała niemalże program informacyjny, gdzie widz jednocześnie słucha rozmowy, ogląda wydarzenia z terenu, a na paskach informacyjnych czyta jeszcze dodatkowe wiadomości. Początkowo nie wie, na co zwracać uwagę, potem łapie rytm. A aktorzy budują napięcie, bo wszystko potem jakoś się łączy i przeplata. Poznajemy bohaterów, których – jak twierdzi reżyser – powinniśmy znać. „To ciekawe, że znamy polityków z tamtych czasów, ale nie znamy takich bohaterów z naszych regionów, a przecież każda z takich osób może mieć wpływ na historię i to jest przesłaniem tego przedstawienia – nie chodzi o wielką politykę, ale o małych odważnych ludzi z lokalnych społeczności, a te opowieści są ich spowiedzią” – dodaje Paška.



Kim byli, co zrobili?

Sprzeciwiali się faszyzmowi. Bez względu na cenę, którą im przyszło za ten sprzeciw zapłacić. Aktor Štefan Lux w 1936 r. pojechał do Genewy, aby zaprotestować przeciwko naziistowskiemu Niemcom. Żydowska fotografka Faye Schulman w 1943 r. zakopała cenne negatywy. Urodzeni na Słowacji Alfréd Wetzler i Rudolf Vrba uciekli w 1944 r. z obozu koncentracyjnego w Auschwitz, aby spisać jedno z kluczowych świadectw XX w.

Idźcie, sprawdźcie, jak o Rudolfie Vrbie i Alfredzie Wetzlerze opowiada młody słowacki reżyser. Jak opowiada o Fay Schulman, polskiej Żydówce, oraz o Stefanie Luksie, niemieckim aktorze, pochodzącym ze Słowacji Żydzie.

MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA, TRNAWA

Charakterny boks kobiecy *made in Poland*

Młoda, utalentowana, bardzo silna psychicznie, z niezwykłym charakterkiem, a przy tym pokorna, kulturalna i ułożona. Z jednej strony skromna, z drugiej – pewna siebie. Ale przede wszystkim niesamowicie ambitna. Bardzo lubiana. W ringu uwielbia dobrze się bawić i „tańczyć”, co zresztą sama przyznaje w wywiadach. Nie ma dla niej zbyt wielkiego znaczenia, z kim się zmierzy w kolejnej walce. Po prostu wychodzi i robi swoje. Jest przekonana, że zawsze będzie w stanie przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Jaka jest Julia Szeremeta? Postać tej wyjątkowej pięściarki przybliżają w rozmowie Ania i jej syn Benio.



Ania: 14 września w Liverpoolu zakończyły się mistrzostwa świata w boksie kobiet. Polska odniosła w nich historyczny sukces – nasze zawodniczki zdobyły aż 3 medale, co jest najlepszym polskim wynikiem w historii. Dziewczyny dokonały rzeczy wielkiej. Niewiele stawiało przed turniejem na Agatę Kaczmarską, a jednak Agata w fenomenalnym stylu pokonała w finale pochodzącą z Indii Nupur Nupur i została mistrzynią świata w kategorii powyżej 80 kg. Niewiele brakowało, a mielibyśmy drugą mistrzynię świata w boksie olimpijskim. W finale rywalizacji w kategorii do 60 kg Aneta Rygielska, zdaniem sędziów, była nieznacznie gorsza od Brazylijki Rebeki Santos. Zdobyła srebrny medal. A w wielkim finale w kategorii do 57 kg Julia Szeremeta musiała uznać wyższość

pochodzącej z Indii Jaismine Laborii, z którą przegrała niejednogłośnie na punkty. Upragnione złoto było tak blisko.

Benio: Ale Julka i tak może być z siebie dumna, bo do srebrnego medalu, zdobytego na igrzyskach olimpijskich, dołożyła srebro mistrzostw świata. Tym bardziej, że boksowała z kontuzjowaną ręką. Lekarz po walce w ćwierćfinale zdecydowanie odradzał Julii dalsze walki. Po mistrzostwach jest może lekki niedosyt, szczególnie po finałowej walce Julii, ale i tak to był turniej jak z bajki dla naszych pięściarek.

A: Niemniej jednak szkoda tej Julii, prawda? Po raz drugi była tak blisko złota w ważnej imprezie, blisko mistrzostwa, którego tak mocno pragnie i życzy jej tego tak wielu kibiców, szczególnie po igrzyskach w Paryżu, kiedy to zyskała ogromną popularność w całej Polsce.

B: To tam właśnie Julia Szeremeta – młoda i waleczna dziewczyna z Biełżan (ur. 23.08.2003) – sprawiła ogromną niespodziankę. Występ w Paryżu to był jej debiut na igrzyskach. Od razu zakończony awansem do finału i tytułem wicemistrzyni olimpijskiej.

A: Srebrny medal Szeremety to pierwszy medal olimpijski dla polskiego boks od 32 lat! Julia jest pierwszą pięściarką, która zdobyła medal igrzysk olimpijskich. A wiesz, że przygodę sportową zaczynała od karate?

B: Tak, miała 6 lat, gdy mama zapisała ją na zajęcia karate. Julia jednak po 7 latach zrezygnowała, ponieważ czuła się już trochę znudzona tym sportem, główną przyczyną był jednak fakt, że dyscyplina ta nie była olimpijska. Na igrzyskach pojawiła się tylko raz – w Tokio w 2021 r., ale do programów kolejnych igrzysk już nie weszła. A o medalu olimpijskim Julia marzyła przecież od zawsze. Dołączyła więc do kolegi, który uczęszczał na treningi boks. Spodobało się jej. Do ringu weszła w wieku 13 lat, a więc zaledwie siedem lat przed zdobyciem olimpijskiego medalu, co pokazuje skalę jej talentu.

A: Julię Szeremetę wyróżnia szybkość oraz to, że potrafi oszukać przeciwniczkę. Jako pięściarka zachwyca przede wszystkim swoją lekkością w ringu. Według trenerów i ekspertów medalistka olimpijska z Paryża ma wszystkie te cechy, które czynią z niej znakomitą pięściarkę. Ma do-



skonałe opanowaną pracę nóg. Do tego boksuje z opuszczonymi rękami, co wymaga ogromnego refleksu i pewności siebie. Ma swój styl, niektórzy twierdzą, że to nonszalancja, ale ona po prostu boksuje z niezwykłą szybkością, wykonuje dużo zwodów, ma bardzo dobrą technikę. Myśli w ringu, słucha podpowiedzi z narożnika, jest pewna siebie, nie boi się nikogo i to wszystko skutkuje dobrymi wynikami. Jej trener, Tomasz Dylak, uważa, że Julia do boksu podchodzi luzno, jak do zabawy, ale kiedy trzeba, bardzo mocno potrafi się zmobilizować i postawić wszystko na jedną kartę, dając z siebie 100 procent. A jaką cechę Julii ty cenisz sobie najbardziej?

B: Podoba mi się jej naturalność i szczerść w wypowiedziach. Po półfinałowej walce na igrzyskach, w której pokonała faworyzowaną Filipinkę Nesthy Petecio, powiedziała np. *Wyszłam i bawiłam się jeszcze lepiej niż w poprzedniej arenie. Mnóstwo kibiców, świetna atmosfera, światelka, muzyka. To mnie niosło*. Julia czasem lubi poimprezować, sprawia wrażenie fajnej dziewczyny, z którą można się zakumplować, ale ma też w sobie determinację w dążeniu do celu, odwagę i pewność siebie. Przed rozpoczęciem igrzysk w Paryżu praktycznie nikt nie wymieniał jej w gronie faworytek do medalu. A ona na 10 dni przed wylotem do Paryża umieściła w mediach społecznościowych zdjęcie ze swoim trenerem i takim opisem: „Najmłodsza. Mało znana. Na papierze z najmniejszymi szansami. Daleko w rankingu. Ale to ja zaskoczę świat. Nie czuję respektu do nikogo. Jestem gotowa, by sprawić sensację. Nadszedł mój czas”.

A: No i słowa dotrzymała, pokazuje niesamowite serce do walki i umiejętności. W każdym pojedynku widać było, jak wielką radość sprawia jej uprawianie tej dyscypliny sportu.

B: A wiedziałaś, mama, że Julia Szeremeta jest również żołnierzem w stopniu szeregowca? Służy w Centralnym Wojskowym Zespole Sportowym. Po sukcesie w Paryżu minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz odznaczył ją Srebrnym Medalem „Za zasługi dla obronności kraju”.

A: Nie wiedziałam. A wiedziałeś, Benio, że Julia przerwała naukę w liceum ze względu na liczne wyjazdy kadrowe? Z racji na toczące się kwalifikacje do igrzysk w Paryżu Szeremeta podjęła decyzję o czasowym zawieszeniu swojej edukacji i w pełni poświęciła się walce o sportowe marzenia. Po sukcesie ostatecznie szkołę średnią ukończyła.

B: Ale dzięki tej ryzykownej decyzji byliśmy świadkami niezwyklej historii, która przyniosła nam pierwszy od 32 lat medal w boksie olimpijskim.

A: Igrzyska w Paryżu oraz ostatnie mistrzostwa świata pokazały, że Julia Szeremeta przez lata może być gwiazdą polskiego boks w kobiecym wydaniu. A może swoją charyzmą i osobowością sprawi, że skorzystają także mężczyźni, którzy w stolicy Francji nawet nie zbliżyli się do jej sukcesu, oraz zachęci młodzież do uprawiania tej dyscypliny. Trener Tomasz Dylak jest optymistą i uważa, że kadre kobiet stać nawet, by rozbić bank na igrzyskach w Los Angeles. Po sukcesie na zakończonych niedawno mistrzostwach świata w boksie olimpijskim kobiet widać, że wszystko zmierza w dobrym kierunku i można mieć nadzieję, że słowa trenera Dylaka się sprawdzą.

B: Użyłaś mama określenia „boks olimpijski”. Zastanawiam się, czym dokładnie różni się on od boksu zawodowego?

A: Główne różnice dotyczą liczby rozgrywanych rund. Boks olimpijski, znany również jako amatorski, ogranicza się do walki w formule trzech do czterech rund, podczas gdy zawodowy może trwać do dwunastu rund. Zawodnicy w boksie olimpijskim uży-



wają kasków ochronnych, co nie ma miejsca w wersji zawodowej. System punktacji również różni się między tymi dwiema formami boks. W boksie olimpijskim używa się elektronicznego systemu liczenia punktów, który nagradza precyzyjne i czyste trafienia. Liczy się każdy celny cios. Tymczasem w boksie zawodowym punktacją zajmują się sędziowie, którzy oceniają nie tylko celność, ale także agresję zawodnika, kontrolę nad ringiem i efektywność ciosów. Kolejna różnica dotyczy kategorii wagowych. W boksie olimpijskim konkuruje się w mniejszej liczbie kategorii wagowych niż w zawodowym. Co więcej, same przedziały wagowe różnią się pomiędzy obiema wersjami sportu. Ta różnorodność w zawodowstwie umożliwia większą specjalizację zawodników. Ostatnią zasadniczą różnicą jest status zawodnika. Boks olimpijski jest zarezerwowany wyłącznie dla amatorów. Oznacza to, że sportowcy nie mogą otrzymywać wynagrodzenia za udział w zawodach ogółem. Tymczasem boks zawodowy, jak sama nazwa wskazuje, umożliwia zawodnikom zarabianie na życie poprzez występy na ringu. Chciałbyś kiedyś, Benio, spróbować treningu bokserskiego?

B: Na razie wolę tenis ziemny i stolarstwo, ale kto wie, może kiedyś zawieszę w garażu worek bokserski, założę rękawice i spróbuję kilku ciosów. Podobno pomaga to dobrze rozładowywać różne frustracje. Zawsze jednak będę trzymał kciuki za dalsze sukcesy Julii Szeremety i pozostałych naszych zawodniczek.

ANIA I BENIO PORADOWIE



Jubileuszowy festiwal polskiego kina w Gdyni przeszedł do historii z wielkim szykiem i artystycznym hukiem. Przede wszystkim pojawiały się na nim filmy, na które czekano z ogromnym zainteresowaniem, szczególnie w konkursie głównym. A były to „Chopin, Chopin” w reżyserii Michała Kwietnińskiego z Erykiem Kulmem w roli głównej, który przed dwoma laty zachwycił w filmie „Filip”. Oczywiście czekano na Agnieszkę Holland i jej „Franza Kafkę”, prezentowanego wcześniej na festiwalach w Toronto i w San Sebastian. Na obu wzbudził duże zainteresowanie, zyskał bardzo pochlebne recenzje, choć również pojawiły się opinie z krytyczną nutą. „Franz Kafka” to polski reprezentant



w oscarowych rozgrywkach. Czy przejdzie do dalszych kwalifikacji, przekonamy się już w grudniu. A w Gdyni jury pod przewodnictwem Magnusa von Horna (ubiegłorocznego laureata Złotych Lwów za film „Dziewczyna z igłą”) nagrodziło (i słusznie) Agnieszkę Holland Srebrnymi Lwami. Przyznano jej także producentom: Śarce Cimbalovej, Agnieszce Holland, Marcinowi Wierchowskiemu i Alicji Jagodzińskiej. A Idan Weiss zdobył nagrodę za główną rolę męską. Jego Franz jest wielką kreacją. Tomasza Naumiuka nagrodzono za świetne zdjęcia, a Gabrielę Polakową za znakomitą charakterystację.

Czekano w Gdyni na „Ministrantów” Pawła Domalewskiego. Ten film przeszedł spore finansowe perturbacje i rozgrywki urzędnicze między dwoma centralnymi instytucjami kultury. Do tej pory toczy się śledztwo, czy właściwie przyznano pieniądze na ten film i czy twórcy dobrze je wykorzystali. Sądząc po werdykcie jury 50. festiwalu zrobili to znakomicie. Zdobył bowiem Złote Lwy i był najdłużej oklaskiwanym filmem przez festiwalową publiczność. Paweł Domalewski otrzymał również nagrodę za scenariusz, a Agnieszka Glińska za montaż. To film ważny i ogląda go się bardzo dobrze. Wywołał też od razu żywe dyskusje na temat granic działania w imię szlachetnych intencji.



Festiwal Polskich Filmów Fabularnych po raz 50.

Również „Dom dobry” Wojciecha Smarzowskiego był oczekiwany na gdyńskim festiwalu. Wcześniejsze filmy tego reżysera zwykle wstrząsały widownią, choćby „Wesele”, „Róża”, „Kler” czy „Wołyń”, ale nie zdobywały głównych nagród na festiwalu w Gdyni, choć były dostrzegane na innych. Tym razem też żadnych Lwów Smarzowski nie dostał. Muszę przyznać, że to dość zaskakująca decyzja jury. „Dom dobry” jest bowiem o tym, co w dzisiejszym świecie bywa tragedią i udręką wielu rodzin. Przemoc – fizyczna, ekonomiczna, psychologiczna – pokazana została w nim niemal perfekcyjnie. Wszystko zaczyna się romantycznie. Piękna dziewczyna (Gośka) i interesujący mężczyzna (Grzesiek) tworzą na początku ciekawą parę. Bardzo dobre role dwojga aktorów – Agaty Turkot i Tomasza Schuchardta. On wydaje się wrażliwy i starający o względy pięknej kobiety, ona powoli daje się uwieść męskiej życzliwości

i troskliwości mimo niewyjaśnionych wcześniejszych sytuacji rodzinnych partnera. Ich związek przechodzi różne koleje, aż w końcu rozpoczyna się udręka, nękanie, poniżanie i sadyzm. To kino dla widzów o silnych nerwach. Szkoda, że film ten nie poruszył jury.

Żaden z filmów nie zawiódł widzów. We wszystkich festiwalowych kinach były komplety. Największa widownia, bo licząca ponad tysiąc miejsc, w Teatrze Muzycznym w Gdyni, gdzie mieściło się też centrum festiwalu, przeżywała poza codziennymi seansami spotkaniami z artystami, twórcami, ekipami filmowymi, dwie festiwalowe gale – początkową i końcową. Obie były bardzo uroczyste.



Nie zawiedli artyści. Festiwal otworzył film „Chopin, Chopin”. Maja Ostaszewska, która grała w filmie matkę kompozytora, Teklę Justynę Chopin, błyszczała elegancją, czerwoną kreacją, a po seansach budziła żywe reakcje swymi opowieściami. Milczący i nieco stremwowany na premierze był również elegancki Eryk Kulm, który nagradzał widzów barwnymi anegdotami z planu filmowego. Ekipa zgodnie podkreślała na spotkaniach, że atmosfera przy kręceniu filmu w międzynarodowej



obsadzie (Liszta gra Victor Meutelet, George Sand – Josephine de La Baume, a króla Ludwika Filipa I – Lambert Wilson) była przyjacielska, miła i twórcza. Zresztą „Chopin, Chopin” to film dyskutowany już przed festiwalem. Choćby dlatego, że to najdroższa produkcja (koszt 64 mln zł) od czasów „Quo vadis” Jerzego Kawalerowicza. Reżyser filmu Michał Kwieciński i scenarzysta Bartosz Janiszewski wydawali się w Gdyni zadowoleni ze swego dzieła. Opinie o filmie są podzielone. Zdecydowani zwolennicy podkreślają innowacyjne spojrzenie reżysera i rolę Eryka Kulma, krytycy natomiast wytykają niedociągnięcia scenariuszowe, dłużyzny i zbędną nieszpensowską muzykę. Na pewno znakomite w tym filmie są kostiumy Magdaleny Biedrzyckiej i Justyny Stolarz oraz przestrzeń scenograficzna Katarzyny Sobańskiej i Marcela Sławińskiego. I ci twórcy uhonorowani zostali przez jury 50. festiwalu nagrodami indywidualnymi. Wyczarowanie paryskiej ulicy z lat trzydziestych XIX w. za pomocą zdjęć kręconych w Łodzi to nie lada przedsięwzięcie i wielka sztuka. Zdjęcia Michała Sobocińskiego (wnuka znakomitego Witolda Sobocińskiego i syna nagradzanego wielokrotnie Piotra Sobocińskiego) też budzą uznanie. Eryk Kulm trzyma widzów w napięciu; to ważna rola w jego dorobku. Chopin w tym filmie jest odrabowany, pozabawiony wielkiej romantycznej nuty, do której przywykliśmy. To obraz w nowym wymiarze. Kwieciński opowiada o ostatnich 15 latach życia wielkiego Polaka, chorego już na gruźlicę, a równocześnie bardzo aktywnego życiowo i twórczo. Chopin jest w tym filmie dandysem, bywałcem salonów, neurotycznym przyjacielem Liszta. Poznaje George Sand, z którą wiąże się na ponad dziewięć lat. Zarabia na życie – koncertuje w salonach francuskiej società. Komponuje. Wobec własnej twórczości jest krytyczny, określa niektóre dzieła mianem „niedoskonałych”. Eryk Kulm przyznaje, że opowieść o ostatnich latach życia genialnego kompozytora, ciężko chorego człowieka, który „nigdy nie jest szczęśliwy, ale cały czas jest uśmiechnięty”, była dla nie-

go wielkim wyzwaniem. O tej roli marzył od lat. Nauczył się w miarę dobrze grać kilka fragmentów utworów Chopina (podobnie zresztą jak Meutelet w roli Liszta, który w filmie koncertuje z Chopinem). Pianistyczne dokonania Kulma ocenil przed śmiercią Janusz Olejniczak, wybitny pianista, wielokrotnie grający w filmach o Chopinie. Nazwał je „perfekcyjnym wykonaniem”. Warto jednak pamiętać, że film Kwiecińskiego nie jest biografią, a opowieścią i wizją reżysera, którą porównuje się do „Amadeusza” Miłocha Formana. Według mnie na wyrost.



Jury w konkursie głównym nagrodiło również świetny dźwięk do filmu „Wielka warszawska”. To bardzo sprawny i ciekawy film, debiut Bartłomieja Ignaciuka o przekrętach i mafijnych działaniach na wyścigach konnych w czasach PRL. Efekty dźwiękowe w tym filmie są doskonałe, wszystko słychać i to zasługa Teresy i Michała Bagińskich oraz Miłosza Jarosza. Zwracam na to uwagę z radością, bo w polskich filmach dźwięk ciągle jest niedoceniany.

A skoro o debiutach, to odkryciem tegorocznego festiwalu jest film „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” w reżyserii Emi Buchwald, która za ten obraz dostała zaszczytne nagrodę jury i dziennikarzy. Czworo rodzeństwa nie umie bez siebie żyć, pomaga sobie, ale ta pomoc nie wszystkim wychodzi na dobre. Ciekawe kino.



Zaskoczeniem była nagroda główna za rolę kobiecą dla Matyldy Giegnzo w filmie „Światłoczuła”. Pisałam o tym filmie w „Monitorze Polonijnym” i nadal go polecam, bo jest piękną opowieścią o trudnej miłości. Muzykę jury nagrodiło w odważnym erotycznym filmie Łukasza Grzegorzka „Trzy miłości”. Laureatem został Piotr Schulc „Steez83” i rzeczywiście tej „muzy” dobrze się słucha, gorzej z samym filmem. Podobnie jak z filmem Władysława Pasikowskiego „Zamach na papieża”, choć Bogusław Linda w roli głównej jako emerytowany oficer służb specjalnych ciągle w dobrej formie. Żaluję niedostrzeżenia filmu „Brat” w reżyserii Macieja Sobieszczańskiego, przejmującej opowieści o braterskiej przyjaźni i opiece, choć odtwórca głównej roli 14-letni Filip Wiłkomirski, zawodnik judo, otrzymał nagrodę za profesjonalny debiut aktorski.

Jubileuszowy festiwal filmowy miał trzy konkursy. Poza głównym – filmów krótkometrażowych i konkurs Perspektywy. Były nagrody. Oczywiście miał też mnóstwo imprez towarzyszących: wystaw, promocji książek, debat programowych, spotkań dyskusyjnych. Łącznie pokazano sto kilkadziesiąt filmów w różnych okolicznościowych przeglądach. Miał też cudowne pokazy elegancji indywidualnych twórców. A ponieważ dopisali aktorzy i aktorki, zwracano uwagę na kreacje, m.in. Mał-



gorzaty Kożuchowskiej, Joanny Kulig, Katarzyny Herman, Magdy Zawadzkiej, Doroty Stalińskiej; stylem zachwycała Grażyna Torbicka. Panowie demonstrowali większy luz, choć Robert Więckiewicz, współscenarzysta i główny aktor w komedii „Vinci 2” Juliusza Machulskiego, jak zwykle prezentował się na ścianie festiwalowej z wielką klasą. Na tym festiwalu były też dwie inne komedie, ale o nich mam nadzieję napisać Państwu przy kolejnej okazji.

ALINA KIETRYS

Gdybym miał urodzić się jeszcze raz, chciałbym grać jazz. Podobno cała nasza rzeczywistość to tylko zagęszczona do stanu materialnego, utkana z melanżu frekwencji iluzja. Muzyka jest więc najbliższą tajemnicą stworzenia. Bawiąc się świadomością frekwencjami, potrafimy tworzyć energię o różnym zabarwieniu, potrafimy więc tworzyć rzeczywistość. Może nie taką namacalną, za to ulotną, nasączoną do granic naszą obecnością. Jazzmani, improwizując, dosłownie tkają rzeczywistość. Dlatego, gdybym miał urodzić się jeszcze raz, grałbym jazz! Tkałbym na trąbce albo na basie swój własny kawałek kosmosu. Tkałbym go z pasją.

Wracam do Trójmiasta, wracam do yassu i wracam do Wojtka Mazolewskiego, by wspomnieć w tym cyklu o grupie Pink Freud, której Mazolewski przewodzi. I przyznaję, że do tego człowieka i jego projektów wracałbym często w artykułach ku swojej ucieście, szkodząc tym samym mojej rubryce.



Walc pod nazwą Pink Freud toczy się od 1998 r. raz szybciej, raz wolniej, ale zawsze zwala z nóg. Porusza się na granicy jazzu, punka, rocka, muzyki elektronicznej oraz całej reszty, na którą ma akurat ochotę. Jest to skórzane, wydzierane, coolowe monstrum, które pochłania rzeczywistość, trawi ją i wydała nową, lepszą, piękniejszą i bardziej czadową. Szerszej publiczności przedstawił się swoim drugim wydawnictwem *Sorry Music Polska*

z 2003 r. Pamiętam, głośno było o tej płycie. Ja jednak nie o niej, ale o *Pink Freud plays Autechre*.

Autechre to brytyjski duet rodem z Manchesteru, tworzący ambitną muzykę elektroniczną. Od zawsze był źródłem inspiracji dla kolektywu z Pink Freud. Dlatego w 2016 r. zespół z Trójmiasta postanowił przygotować program oparty na utworach Autechre. Aby tego dokonać należało niełatwą przecież, pełną połamanych podzia-

Niepewne granice lepszego życia



Uczciwie przyznaję, że jestem uzależniony od podcastów. Słucham ich codziennie: w drodze do pracy, w drodze z pracy, podczas gotowania, uprawiając sport. Moją ulubioną kategorią są podcasty o polskiej literaturze. Czasem się zdarza, że jakaś książka rozbija bank i pojawia się nie w jednym, a w dwóch, trzech czy nawet czterech różnych audycjach – rozmów o niej mam dosłownie pełne uszy.



Właśnie taka sytuacja miała miejsce w zeszłym roku, podczas wakacji, a jej głównym bohaterem był esej „Hanka. Opowieść o awansie” Macieja Jakubowiaka.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu kilka miesięcy później dostałem go w prezencie od swojej wspaniałej uczennicy, którą uczy słowackiego. Ona zaś otrzymała ode mnie znakomitą słowacką książkę „Babička”, która wkrótce zostanie przetłu-

maczona na język polski. Prezent od niej to był jasny znak, że ów esej trzeba przeczytać. Na tym jednak nie koniec niespodzianek. Przekartkowałem go, by na samym końcu znaleźć podziękowanie od autora dla cierpliwego kelnera z pewnej bratysławskiej kawiarni!

Ale po kolei. Kim była Hanka i dlaczego powstała o niej książka? Autor na samym początku mówi: „była nikim”. Po co więc pisać książ-

kę o nikim, skoro można napisać tyle książek o kimś?

Otóż Hanka była matką autora. To na jej przykładzie, na tle jej życia, a raczej na tle tria: Hanka, jej mama Albina, syn Hanki Maciej, czyli sam autor, opowiada historię o awansie. Nie jest to jednak bynajmniej historia niczym z amerykańskiego filmu, gdzie bezdomny zbiera siły, wpada na genialny pomysł i ostatnie chwile swojego życia spędza oto-

czony spadkobiercami w luksusowym apartamencie na Manhattanie.

Czym więc jest awans? Podobnie jak w niniejszym tekście w historii o awansie jest podejrzenie dużo znaków zapytania. Zaczniemy od szkoły. Najstarsza z tria skończyła kilka klas, więcej się nie dało, trzeba było wypasać krowy. Hanka zdała maturę; nieporównywalnie więcej. Nie pracowała fizycznie, tylko w biurze.

łów rytmicznych, nieoczywistych harmonii i brzmień muzykę przetransponować na język tradycyjnego instrumentarium, co było nie lada wyzwaniem. Muzycy poradzili sobie z zadaniem w iście punkowy sposób, zapisując poszczególne partie ze słuchu, a następnie składając je na nowo po swojemu. Ostateczny efekt zważył mnie z nóg od pierwszego kontaktu z tym materiałem.

Gotowy program został zarejestrowany w katowickim klubie Hipnoza. O tym, że jest to płyta koncertowa, zdradza jedynie fakt, że między utworami słychać reakcje publiczności.



Zespół zadbał o odpowiednie brzmienie. Rafał Klimczuk gra na specjalnie przerobionym zestawie perkusyjnym, symbole są bogate, ale stłumione, na membranach podskakują drobne przedmioty, dzięki czemu cały zestaw brzmi bardzo industrialnie. Klimczuk dla mnie jest też największym bohaterem całego koncertu. Sposób, w jaki rozprawił się z nieszablonowymi podziałami rytmicznymi, budzi głęboki respekt.

To jedno z moich ulubionych wystąpień perkusyjnych w ogóle. Mazolewski gra na pięciostunowym bezprogowym basie o potężnym brzmieniu, tworząc kontekst harmoniczny. Na saksofonie barytonowym i klawecie gra Karol Gola, dbając o warstwę melodyjną, będąc kontrapunktem dla trąbki, która odpowiedzialna jest za część melodyjno-ambientową. Adam Milwiw-Baron dwoi się i troi, grając na tym instrumencie, samplując go i poddając brzmieniowej obróbce. W efekcie dostajemy kawał potężnego grania, samo mięcho, czystą energię.



Mógłbym się tu rozwodzić nad każdym utworem godzinami, ale po co. Krótko, do dwóch z nich wracam nader często: *Bike*, który usłyszałem jako pierwszy i który uwiódł mnie bez reszty, dzięki niemu dowiedziałem się o tym albumie, oraz przepiękne *Cichli*, które zarówno w oryginale, jak i w interpretacji Pink Freud budzi we mnie głębokie emocje: smutek, tęsknotę, nostalgię, ekscytację, zachwyt, wszystko na raz.

Lektura obowiązkowa!

ŁUKASZ CUPAŁ

A Maciej jest eseistą, doktorem, w codziennych rozmowach z łatwością posługuje się słowami ze słownika wyrazów obcych. Nie da się jednak postawić znaku równości między edukacją a awansem.

Gdzie zatem? Hanka była obiecującą sportsmenką, ale jej rodzice odrzucili ofertę słynnego Górnika Zabrze i nie przeprowadzili się, nie przyjęli hojnych warunków i nie dali córce możliwości wybrania się w tym kierunku.

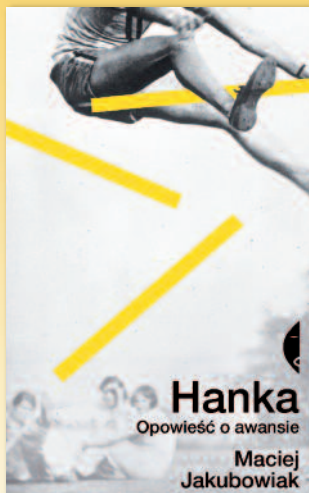
Może awans by nadszedł, może nie (z tekstu wynika, że raczej nie), tego na pewno się już dziś nie dowiemy. Zatem może inaczej: czy o awansie świadczy to, co człowiek czyta? To, co je? To, jak wychowuje dzieci? To, gdzie i jak pracuje?

A może cały ten awans opiera się na tym, jak postrzegamy swoją własną sy-

tuację życiową w zestawieniu z życiem naszych rodziców? Autor przytacza badanie socjologiczne z pytaniem: „Czy uważasz, że w życiu idzie ci lepiej niż twoim przodkom?”. W 2016 r. nieco ponad 30 procent Polaków odpowiedziało na to pytanie twierdząco. W rzeczywistości to wcale nie tak dużo. Wy, drodzy czytelnicy, również spróbujcie odpowiedzieć sobie na to pytanie.

W swoim esej Maciej Jakubowiak śmiało pozwala czytelnikowi zajrzeć przez dziurkę od klucza do życia swojej rodziny. Oprócz opowieści swojej babci, mamy i częściowo również dziadka ukazuje złożone przemiany społeczne, które zaszły w Polsce w XX w. To historia człowieka-miliona (pozwalam sobie pożywić ten termin od słowackiego klasyka Jozefa

Cigera-Hronskiego z jego „Jozefa Maka”), z którym wiele rodzin w naszej części świata jest w stanie mniej lub bardziej się utożsamić. To kontynuacja tak popularnych w ostatnich latach historii chłopskich. Jednocześnie jest to książka, która zasługuje na wnikliwą lekturę i refleksję.



A co z tą Bratysławą? Pojawia się w tekście kilkakrotnie, żyje tam alter ego Hanki – Hana – która odniosła w życiu nieco większy sukces. Sam autor zdradził mi w rozmowie, że zaczął pisać książkę, przebywając na stypendium w Bratysławie.

„Zachwyciłem się tym, że na przedmieściach Bratysławy, pod blokami, takimi samymi, w jakich ja się wychowałem, zamiast pustych pól są winnice. Taka drobna różnica, ale wspaniała. No i wtedy pomyślałem sobie, że Słowacja jest właśnie troszkę jak Polska, ale odrobinę lepsza”. I właśnie to wyobrażenie o lepszym życiu może stanowić motywację do awansu społecznego, który może popchnąć życie nasze i naszych dzieci do przodu.

MARIÁN HAMADA

Trzy miasta, trzy opowieści o pamięci



Pamięć o pierwszym transporcie

W Humennem z okazji Dnia Pamięci Ofiar Holokaustu i Przemocy Rasowej zorganizowano inscenizowany marsz, przypominający wydarzenia sprzed 83 lat. 12 marca 1942 r. z miasta wyruszyła grupa ok. 20 młodych Żydówek, które przez Poprad trafiły do Auschwitz – jako jedne z pierwszych więźniarek obozu. Większość z nich tam zginęła.

W tegorocznej inscenizacji uczestniczyły uczennice miejscowego gimnazjum, które w strojach stylizowanych na lata wojny, z żółtymi gwiazdami na piersi i walizkami w rękach przemaszerowały miastem eskortowane przez Gwardię Hlinki. Towarzyszyły im seniorki, odgrywające rolę społeczności, żegnającej swoje córki, siostry i sąsiadki. Do pochodu spontanicznie dołączali przechodnie, a na dworcu czekał podstawiony drewniany wagon – taki, jakim 83 lata temu wywożono Żydów na śmierć.

Marsz w Humennem stał się lekcją historii i doświadczeniem społecznym. Organizatorzy podkreślali konieczność edukacji o Holokauście i ostrzegali przed ewentualnym powtórzeniem się tragedii, wynikających z nienawiści i nietolerancji.

Na Słowacji pamięć o trudnej historii wciąż żyje – w Humennem przypomniano pierwszy transport żydowskich dziewcząt do Auschwitz, w Bratysławie stanął pomnik Imricha Karvaša, ekonomisty i bohatera ruchu oporu, a w Lučencu odsłonięto instalację „Spętanej wolności”, nawiązującą do okupacji z 1968 r. Trzy różne miejsca i trzy różne formy upamiętnienia łączy wspólne przesłanie: historia to nie tylko wspomnienie ofiar i bohaterów, ale także przestroga przed tym, dokąd prowadzą nienawiść, nietolerancja i utrata wolności.



Pod koniec czerwca przed siedzibą Słowackiego Banku Narodowego w Bratysławie stanęła pięciometrowa granitowa rzeźba, upamiętniająca Imricha Karvaša, pierwszego prezesa Słowackiego Banku Narodowego (1939–1944), wybitnego ekonomistę, prawnika i pedagoga akademickiego. Karvaš przeszedł do historii nie tylko jako autor licznych publikacji z zakresu ekonomii i polityki gospodarczej, ale przede wszystkim jako człowiek, który w decydującym momencie wykorzystał swoją funkcję, by wesprzeć ruch oporu. Pod pretekstem ewakuacji bankowych zasobów przeniósł miliardy koron, które zasiły finansowo Słowackie Powstanie Narodowe. Zabezpieczył także paliwo i żyw-



Pamięć o bohaterze

przekształcić liczby w oręż walki o wolność, a swoją postawą udowodnił, że odpowiedzialność za los wspólnoty nie kończy się na bilansach i tabelach.

ność dla ludności, zapewniając jej przetrwanie w najtrudniejszych miesiącach wojny. Za swoją działalność zapłacił wysoką cenę – najpierw został skazany na śmierć przez faszystów, ale ci nie zdążyli wykonać wyroku, później był ponownie więziony i prześladowany przez komunistów. Mimo to nigdy nie wyrzekł się wartości, którym pozostał wierny do końca życia. Pomnik autorstwa Štefana Papča, wykonany z łupanego granitu, ma symbolizować nieugiętość i odwagę Karvaša.

To hołd dla człowieka, który jako ekonomista potrafił

Pamięć o wolności

W Lučencu 21 sierpnia odsłonięto symboliczny pomnik „Spętanej wolności”, upamiętniający inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968 r. Wydarzenie, zorganizowane przez Inicjatywę Obywatelską Lučenec, miało przypomnieć, jak łatwo wolność może zostać odebrana i jak ważna jest jej ochrona także dziś. Instalację tworzyły historyczne zdjęcie i tekst, umieszczone na skale otoczonej drutem kolczastym. Uczestnicy wydarzenia mogli zostawić symboliczne wstążki z adnotacją, co ludziom odebrała ta okupacja. Spotkanie pod hasłem „68 – Spętana wolność. Nigdy więcej!” odbyło się na pl. Kubíny i towarzyszyły mu krótkie przemówienia.

ALEKSANDRA PYKA



Jesień potrafi przemienić każde miejsce w malarską scenę, ale są takie zakątki, w których złote barwy nabierają szczególnej głębi. Jednym z nich jest górujący nad Nitrą wyniosły szczyt Zobor o wysokości 587 m n.p.m. To nie tylko popularne miejsce spacerów, lecz także wzgórze nasycone historią, legendami i unikatową przyrodą.

Zobor znajduje się na obszarze chronionego krajobrazu Ponitrie i od wieków przyciągał ludzi. Już w epoce brązu powstał tu potężny gród, którego wały obronne sięgały 6–8 m wysokości i miały aż 2 km długości. Konstrukcja wału składała się z drewnianych elementów, wypełnionych kamieniami i gliną. Prawdopodobnie na jego szczycie znajdowała się dodatkowa drewniana palisada. Na terenie grodziska odkryto pozostałości domów, obiektów gospodarczych oraz znaleziska archeologiczne, tj. narzędzia czy fragmenty ceramiki. Rozlokowany na powierzchni około 15 ha jest najstarszym narodowym zabytkiem kultury w tej okolicy. Choć dziś ukryty pod liśćmi i porośnięty lasem, wciąż świadczy o tym, że miejsce to od wieków pełniło rolę strategiczną i kulturową. W XI w. wzgórze zasłynęło również jako siedziba benedyktyńskiego klasztoru św. Hipolita, jednego z najstarszych na Słowacji. Z życiem monastycznym związane są także postacie pustelników św. Świerada i św. Benedykta, których pamięć ożywiają dziś tablice edukacyjne na szlaku.

Nie bez znaczenia jest także nazwa Zobor. Część uczonych wiąże ją z dawnym słowem *zbor*, oznaczającym 'zgromadzenie', co mogło odnosić się do wieców wielkomorawskich lub wspólnoty klasztornej. Inni badacze



Słowackie perełki



wskazują na powiązanie z 'zubrem', który od wieków zamieszkiwał te tereny, a którego potomków można do dziś oglądać w pobliskich Topolčiankach. Według legendy istniał również wódz Zobor, który po bohaterskiej obronie wzgórza został stracony przez wojska Arpada.

Wzgórze kusi nie tylko historią, lecz także malowniczymi szlakami, które w jesiennej scenie nabierają szczególnego uroku. Na jego szczycie

przypomina wulkan, badania nie potwierdziły, by był nim w przeszłości. Skały oraz powyginane od wiatru konary sosen dodają temu miejscu niezwykłego charakteru. Zwłaszcza jesienią szlak otula zapach opadłych liści, a promienie słońca przesączają się przez korony drzew niczym złote witraże.

Gdy dotarłam do kulminacyjnego punktu mojej wędrowki, przede mną rozpościerała się rozległa polana z charakterystycznym nadajnikiem telewizyjnym, zwanym Pyramida (554 m n.p.m.), pozostałością pomnika milenijnego oraz zapierającym dech w piersiach widokiem na miasto i okolicę. Urzeczona wpatrywałam się w horyzont, który zdawał się nie mieć końca, a cała okolica tonęła w ciepłym świetle jesiennego zachodu słońca.

Dziś Zobor to nie tylko miejsce spacerów, lecz także żywa księga historii. Gdy szlaki przykrywa dywan szeleszczących liści, każdy krok prowadzi przez kolejne warstwy czasu. Spacerując po wzgórzu dotykamy dziedzictwa przodków, a jednocześnie chłoniemy piękno natury w najbogatszej kolorystycznej odsłonie roku. To idealne miejsce na rodzinny spacer, romantyczną przechadzkę czy samotną wędrowkę. Polecam.

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

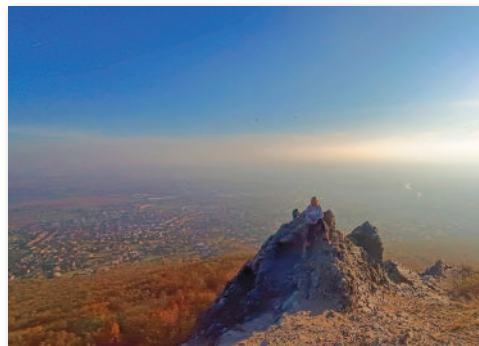


prowadzi kilka tras o różnym stopniu trudności, każda jednak wiedzie ku spotkaniu z historią, przyrodą i ciszą.

Swój spacer rozpoczęłam przy uzdrowisku w Nitrze. Zielony szlak poprowadził mnie wprost do źródła św. Świerada (*Svoradov prameň*), które od wieków gasi pragnienie wędrowców. Idąc dalej, nieco wyżej dotarłam do groty (*Svoradova jaskyňa*), w której św. Świerad prowadził surowe życie ascety. Legenda głosi, że w pobliskich skałach do dziś można odnaleźć odcisk jego stopy. Warto zaznaczyć, że okolica należy do wyjątkowego leśnostepu, gdzie rośnie aż czternaście gatunków rzadkich roślin. Ta stepowa łąka, objęta najwyższym stopniem ochrony, jesienią mieni się odcieniami wysuszonych traw. Choć kształt szczytu



ZDJEŚCIA: MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA



W czasach socjalizmu był luksusem, choć wyglądał mało luksusowo: był szary i chropowaty. Historia papieru sięga dwóch tysięcy lat, ale papieru toaletowego niecałe dwieście!

Kiedys luksus

Chociaż to Chińczycy już ponad 2000 lat temu wymyślili papier i zaczęli go używać również w celach higienicznych, to za ojca nowoczesnego papieru toaletowego uważa się Josepha Gayettya z Nowego Jorku, który w 1857 r. wprowadził na rynek papier, który reklamował jako *doskonale czysty artykuł do toalety i ochrony przed hemoroidami*, a sprzedawał w cenie 50 centów za liczące 500 arkuszy opakowanie. Jednak dopiero u schyłku XIX w. wyrób ten spotykał się z większym zainteresowaniem klientów. Należy zaznaczyć, że do połowy XX stulecia papier toaletowy był dobrem luksusowym.



W Polsce ten rodzaj papieru wytwarzano już w okresie międzywojennym, jednak pierwszy papier toaletowy na zasadach przemysłowych zaczęto produkować na dobre pod koniec lat 50. XX w., choć większe zainteresowa-



nie nim można zaobserwować dopiero w latach 70. Na początku nie sprzedawano go w rolkach, ale zapakowany w pociętych kawałkach.

Papierowy socjalizm

Jak ważny jest papier toaletowy, pokazały w Polsce czasy PRL. W tamtym okresie brak papieru toaletowego był wręcz chroniczny. Kiedy papier toaletowy pojawiał się w sklepach, ustawiły się długie kolejki klientów. Nikt nie chciał wykorzystywać do higieny starych gazet.

Gospodarka socjalistyczna była niewydolna, czego efektem był ciągły brak papieru toaletowego w sklepach i to aż do końca lat 80. Kolejki po niego skończyły się dopiero po wprowadzeniu wolnego rynku w 1989 r.

Powszechne poszukiwanie papieru toaletowego sprawiło, iż obrazek Polki lub Polaka idącego ulicą z zawieszonymi na szyi rolkami papieru toaletowego stał się symbolem PRL. Rolki te nazywano się różniaczem. Taki różaniec składał się z dziesięciu rolek.

W szczytowym okresie reglamentacji w PRL motywowano obywateli do oddawania makulatury, oferując w zamian możliwość zakupu papieru toaletowego: 1 rolka za kilogram makulatury. Papier ten był zupełnie innej jakości niż ten dzisiejszy – szary, szorstki, często

bez podziału na kawałki, z poszarpanymi krawędziami. Używano go ostrożnie, żeby się nie poranić, bo innej możliwości wówczas nie było. Papier kolorowy, miękki, ze wzorami i zapachem, kilkuwarstwowy to wybrzyk ostatnich dekad.

Przeciętnemu Kowalskiemu przysługiwało, według planów produkcyjnych, siedem rolek rocznie, jednak rzeczywistość była znacznie niższa. W odróżnieniu od krajów zachodnich, gdzie papier toaletowy był produktem powszechnego użytku, w Polsce przez cały okres PRL pozostawał towarem luksusowym.

Obecnie produkuje się rocznie ok. 400 tys. ton papieru toaletowego, z czego powstaje ponad 5 miliardów rolek. Na statystycznego mieszkańca kraju przypada zatem 130 rolek rocznie.

Papierowa story w Czechosłowacji

Problemy z dostawami papieru toaletowego sięgnęły również Czechosłowację. Centralnie planowana gospodarka wyśrubowała normy produkcyjne kilku istniejących papierni do tego stopnia, że w 1988 r. skończyło się to pożarem Zakładów Papierniczych w Harmańcu. Nie trzeba było długo czekać, a kolejki po ten towar deficytowy rosły z dnia na dzień. W tej sytuacji towarzysze partyjni, próbując zażegnać klęskę papierową,

zmuszeni byli importować papier z Jugosławii, Austrii, a nawet Chin. Słowacy mogli kupić pierwszą rolkę papieru toaletowego, jaki znamy dziś, dopiero w 1972 r.

Ciekawostki o papierze

Obecnie na świecie zużywa się około 83 milionów rolek papieru toaletowego dziennie. Papier toaletowy ma nawet swój własny dzień w kalendarzu. Amerykanie obchodzą go 26 sierpnia. Przeciętna osoba zużywa 57 kawałków papieru toaletowego dziennie. Jedna rolka papieru toaletowego wystarcza w gospodarstwie domowym na ok. 5 dni. Mówi się, że 1 na 20 osób nie myje dokładnie rąk po jego użyciu. Zapach jest zawsze aplikowany na rolkę, a nie na sam papier, jak to miało miejsce dawniej.

Podobno 7% Amerykanów kradnie papier toaletowy z hoteli i moteli, 61% osób używa papieru toaletowego do pielęgnacji nosa, 17% do usuwania rozlanych płynów, a 8% do demakijażu.

Jakiś czas temu w Internecie pojawiło się dziś już kultowe zdjęcie, wyśmiewające Sowietów, bowiem w ZSRR produkcja papieru toaletowego ruszyła dopiero w 1969 r.

Życząc Państwu, żeby tego papieru nigdy nie zabrakło.

ANDRZEJ IVANIĆ



Tym razem z okazji 30-lecia naszego pisma poprosiliśmy o wspomnienia na temat „Monitora“ naszą długoletnią współpracowniczkę Agatę Bednarczyk.



**PIĘKNY
30 LATK**



Kiedy latem 2006 r. zamieszkaliśmy w Bratysławie, nie miałam pomysłu na znalezienie sobie dodatkowego zajęcia. Mąż każdego ranka wyjeżdżał do pracy, a ja zajmowałam się naszymi małymi córkami. Z pomocą przyszła mi Ewa Baltazarowicz, którą poznałam na placu zabaw. Kiedyś usłyszałam tam rozmowę po polsku i zdecydowałam się podejść do nieznajomej dziewczyny, tłumaczącej coś cierpliwie swojemu dziecku. To właśnie Ewa powiedziała mi, że w Bratysławie jest duża polska społeczność, a – co więcej – jest nawet gazeta dla Polaków i tam mogę poszukać sobie zajęcia. Postanowiłam spróbować.

Z Małgorzatą Wojcieszynską spotkałam się w jednej z bratysławskich restauracji w centrum. Na spotkanie przyszła energiczna, uśmiechnięta, ale konkretna osoba, która z miejsca ujęła mnie swoją bezpośredniością. Rozmawiałyśmy o życiowych doświadczeniach, o pisaniu i szybko padła propozycja: co byś chciała robić? Jako że jedną z moich pasji były i nadal są podróże, zdecydowałam się opisywać Słowację okiem osoby, która dotychczas nie miała żadnych słowackich doświadczeń. To był strzał w dziesiątkę! Mimo dwójki szkrabów w aucie, udało się nam rodzinnie objechać praktycznie cały kraj.

A ja pisałam, pisałam... i było to coś bardzo przyjemnego. Czasami bywało odwrotnie, np. dostałam od Małgorzaty kontakt do jednego z redaktorów mieszkających w Koszycach i to on właśnie opisał mi osiedle Lunik IX, które tak zawałdnęło moją wyobraźnię, że nie bacząc na ryzyko, postanowiłam zobaczyć je na własne oczy. Był

to rok 2007 i sytuacja w tamtym mieście była naprawdę napięta.

Przez kilkanaście lat tematy moich artykułów oczywiście się zmieniały. Redagowałam rubrykę kulinarną, pisałam o polskich zwyczajach i świętach, opisywałam interesujące wydarzenia i wakacyjne atrakcje. Recenzowałam też polskie książki, co było niezwykle przyjemnością, bo lubię czytać i wyszukiwanie atrakcyjnych pozycji literackich uważałam za intrygującą misję.

Z ciekawostek dużego kalibru najchętniej wspominam wizytę w TV Polonia, o którą poprosiła mnie Małgorzata. Mieszkaliśmy już wtedy w Warszawie, więc było bliżej – a spotkanie w programie telewizyjnym miało dotyczyć życia Polaków na Słowacji i oczywiście „Monitora Polonijnego” jako magazynu jednoczącego słowacką Polonię. Omówiłyśmy z Małgorzatą treści, które miałam przedstawić, w końcu występ w telewizji to nie byle co... A wyszło zupełnie co innego! Prowadząca program spontanicznie zaprosiła do studia również mojego męża, którego zabrałam, bo nagranie rozpoczęło się późnym wieczorem i jakoś tak strach mnie obleciał, że sama na nie pojedę... Rozsiadliśmy się wygodnie oboje, nagranie wystartowało...

I po pierwszym pytaniu dziennikarki mój mąż rozgadał się straszliwie – mam nadzieję, że widzowie nie widzieli tych morderczych spojrzeń, które wysyłałam w jego kierunku. Udało mi się przekazać tylko kilka z zaplanowanych informacji, ale i tak byłam dumna, a muszę powiedzieć, że czas na antenie płynie dużo szybciej, na pewno inaczej, niż gdy się taki program ogląda.

Współpracę z „Monitorem” dzielił na dwa okresy: czas mieszkania w Bratysławie i czas po powrocie do domu. Oba dały mi bardzo dużo – z jednej strony mogłam poznać Słowację w stopniu, w jakim nie znam żadnego innego kraju, zjeździć tak wiele dróg, posmakować przez cały rok wspaniałych produktów regionalnych, poznać

ludzi, z którymi do dziś mam kontakt, a z drugiej strony, będąc już w Polsce, czułam, że to ważne, aby przekazać ten punkt widzenia, sprawy aktualne, społeczne czy kulturalne. Czekając na książkowe nowości, śledząc przyznawanie literackich nagród, chciałam, aby czytelnicy – miłośnicy czytania – mogli być na bieżąco tak samo, jak każdy, kto w Polsce udaje się do księgarni i po prostu wybiera to, co wyda mu się interesujące.

Redakcja „Monitora Polonijnego” robi świetną robotę, zawsze podziwiałam idealny balans pomiędzy kwestiami słowackimi, a wiadomościami z Polski. Każdy ogrodnik wie, że dbając o roślinę, trzeba pielęgnować gałęzie, liście i kwiaty, ale nie zapominać o korzeniach i regularnie je podlewać. Tak właśnie jest z „Monitorem” i dlatego magazyn pozostaje ciekawy dla czytelników.

Z okazji tego wspaniałego jubileuszu życzę Małgorzacie Wojcieszynskiej i wszystkim współpracownikom nieustających pomysłów i inspiracji, ale też docenienia ze strony tych, którzy decydują o jakości życia Polonii – oby zawsze w pełni rozumieli, jak istotne jest wspieranie Polaków za granicą.

AGATA BEDNARCZYK

szybciej do POLSKI



Rząd Słowacji wraz z Narodową Spółką Autostradową przedstawił w ostatnich miesiącach szereg projektów, które mają poprawić połączenie drogowe północnej Słowacji z Polską. Chodzi przede wszystkim o regiony Orawy i Kysuc, które od lat borykają się z niedostateczną infrastrukturą i dużym natężeniem ruchu tranzytowego. Nowe inwestycje mają nie tylko skrócić czas podróży i zwiększyć bezpieczeństwo, ale także wzmocnić współpracę gospodarczą w ramach polsko-słowackiego pogranicza.

Orawa: wreszcie bliżej do autostrady i do Polski

Orawa należy do regionów, w których mieszkańcy od dawna zwracają uwagę na słabe połączenia drogowe. Choć w ostatniej dekadzie turystyka i przemysł znacznie się rozwinęły, drogi krajowe pozostały praktycznie w niezmiennym stanie. Przelomem ma być budowa drogi ekspresowej R3, która połączy Dolny Kubín z granicą w Trstenie i dalej z polską siecią drogową w kierunku Krakowa i Zakopanego.

W ostatnich miesiącach otwarto długo oczekiwaną obwodnicę Tvrdosína, miasta mijanego podczas podróży w stronę Krakowa. To co prawda tylko kilka kilometrów, ale otwarcie nowego odcinka cieszy – przygotowania do tej inwestycji trwały wiele lat, a brak postępów bardzo irytował.

Kysuce: ulga od ruchu tranzytowego

Jeszcze bardziej wyraźny problem dotyczy Kysuc, gdzie główny szlak drogowy D3 stanowi część europej-

skiego korytarza łączącego Bałtyk z Adriatykiem. Codziennie przejeżdżają tamtędy tysiące ciężarówek, lecz znaczna część autostrady wciąż nie istnieje, a ruch odbywa się przez miasta, takie jak Čadca czy Krásno nad Kysucou.

Najważniejszą inwestycją jest odcinek D3 Čadca – Bukov – Svrčinovec – Skalité, który łączy się bezpośrednio z polską drogą ekspresową S1. Już dziś trwają prace przy tunelach i mostach, mających odciążać krytycznie przeciążone odcinki. Według planów Ministerstwa Transportu w najbliższych latach ma ruszyć budowa odcinka D3 między Żyliną a Kysuckim Novym Mestem, co zapewni płynne połączenie z autostrady D1 aż do granicy z Polską.

Korzyści gospodarcze i społeczne

Inwestycje w północnym korytarzu mają znaczenie nie tylko regionalne, ale i międzynarodowe. Polska jest jednym z największych partnerów handlowych Słowacji, a właśnie Orawa i Kysuce stanowią kluczowe połączenie między ośrodkami przemysłowymi Żyliny, Krakowa czy Katowic. Lepsze drogi przyniosą szybsze dostawy towarów, niższe koszty dla przewoźników i większe bezpieczeństwo dla mieszkańców.

Nie do przecenienia jest także wpływ na turystykę. Podczas gdy Polacy chętnie odwiedzają słowackie ośrodki narciarskie na Orawie i w Małej Fatrze, Słowacy coraz częściej wybierają się do historycznego Krakowa czy na wędrowki w polskich Tatrach. W ostatnich latach panuje również moda na polski Bałtyk. Dobra infrastruktura

drogowa wesprze więc ruch w obie strony i wzmocni więzi między regionami.

Wyzwania i obawy mieszkańców

Mimo pozytywnych informacji inwestycjom towarzyszą również obawy. Mieszkańcy często krytykują wolne tempo przygotowań i długotrwałe procedury administracyjne. Na Kysucach od lat mówi się, że autostrada to „nieskończona opowieść”, a podobne nastroje panują na Orawie w związku z drogą R3. Dodatkowo organizacje ekologiczne zwracają uwagę na ingerencję w obszary chronione i domagają się bardziej przyjaznych dla środowiska rozwiązań.

Inwestycje po polskiej stronie

Intensywne inwestycje drogowe realizowane są także po polskiej stronie granicy. W ostatnich latach kierowcy otrzymali nowe odcinki zmodernizowanej Zakopianki – otwarto tunel pod Luboniem Małym wraz z nowymi odcinkami drogi ekspresowej S7. Powstała też droga ekspresowa na odcinku Rabka – Nowy Targ wraz z obwodnicą Nowego Targu, a w planach do roku 2032 jest budowa brakującego odcinka drogi ekspresowej S7 na odcinku Rabka – Chyżne (granicą państwa). Intensywne prace trwają też na trasie Via Carpatia między Lublinem, Rzeszowem a słowacką granicą (jej słowacki odcinek prowadzi do Preszowa i Koszyc).

JAKUB ŁOGINOW



Sen – nie sen

Czasem noc u mnie to nie noc. Siedzę, patrzę, myślę albo biegam rozbudzona przez atak epilepsji. Wtedy jedno z rodziców musi mnie pilnować. A rano? Rano jest wielki problem. Bo kiedy w końcu uda mi się zasnąć, to śpię tak twardo, że mama mnie budzi, a ja ani drgnę. Można mnie laskotać, wołać – a ja śpię jak susał.

Ale w końcu wstaje, bo trzeba.



Leki, grzebień, parówki

Najpierw leki. Bez leków nie ma dnia. Potem mama mnie ubiera, myje, czesze. Czesanie to temat trudny – ja bym wołała pominąć ten punkt dnia, ale mama mówi, że tak się nie da. Bo z kołtunami na głowie przecież się z domu nie wychodzi.

Na końcu śniadanie. Najczęściej parówki w moim pojemniku – żeby w razie czego można je było wziąć do samochodu.

Zazwyczaj jem je w łóżku, a czasem wcale, bo nie mam ochoty. Mama wtedy się



To znówu ja – Nina. Komu brakowało moich opowieści? Jestem tu, ciągle do was wracam, to już się stało moją rutyną. No więc co u mnie nowego? Trochę się dzieje, a trochę wszystko wygląda tak samo, bo ja mam swoje rytuały. A jak mam rytuały, to się ich trzymam.

martwi, bo leki na pusty żołądek to nic dobrego. Podczas śniadania zawsze przeglądam moje „nowiny”. To są książki i stare gazety, które mama trzyma w pudełku obok łóżka. Ja je oglądam, przewracam kartki, udaję, że czytam, a czasem wacham papier. To jest mój rytuał – taki jak kawa dla dorosłych. Potem jadę na zajęcia.



Od śniadania do obiadu

Do popołudnia spędzam czas w ośrodku, a tam z posiłkami różnie bywa, bo najczęściej nie chcę tam jeść. Nie ma tam mamy, a bez mamy to nie bardzo mi smakuje. Nawet sobie czasami nie zdaję sprawy z tego, że jestem głodna. Ale jak wracam do domu, wszystko wraca do normy. Najpierw wanna – relaks w ciepłej wodzie po długim dniu – a potem obiad.

Mama karmi mnie czasem przy stole, czasem w łóżku. Ja wtedy mogę jeszcze poczytać moje stare gazety, bo bez nich ciężko mi się skupić.

Mam też swoje ulubione zabawy. Na przykład garnek. Pukam w niego raz, drugi, trzeci... dziesiąty. Mama często się dziwi, że potrafię tak

długo po prostu pukać... No, a ja mogę to robić naprawdę bardzo długo. Bo ten dźwięk jest mój.



Bez Krecika ani rusz

Wieczory są różne. Czasem siedzę w swoim pokoju, gadam do zabawek, przytulam je. No i oczywiście oglądam Krecika! Jak nie leci odcinek, który mi się podoba, to uderzam z całych sił w ekran i wołam rodziców, żeby przełączyli nu-



dne sceny! Czasem proszę o audiobooka i zasypiam przy głosie lektora. Ale najczęściej czekam na mamę albo na tatę, bo bez nich trudno mi zasnąć. A jak przyjdzie atak, to w ogóle nie zasypiam.

Tak wygląda mój dzień. Trochę śmieszny, trochę trudny. Ale zawsze z moimi rytuałami. I wiecie co? Może właśnie dzięki nim wszystko jakoś się udaje.

NINA



O świetlikach w kosmosie

Kochani!

Chyba Wam już pisałem o tym, jak bardzo byliśmy smutni po śmierci Nera? Nero nie był jednak pierwszym psiakiem, którego oplakiwaliśmy wspólnie z Waszymi rodzicami. Przed nim była jeszcze suczka Stella, śmieszny kundlek chudzielec o bardzo drobnej budowie ciała, uszach nietoperza i niezbyt sympatycznym charakterze. Mawiają, że mała i zła, ale to byłoby dla niej krzywdzące. Obcych, rzeczywiście, jak to pies, nie uwielbiała, ale do domowników była nastawiona przychylnie. Może z wyjątkiem okresu, kiedy cierpiała na *pseudograviditas*, ciężę rzekomą, a ściślej rzekome macierzyństwo, nie tak rzadkie u suczek zaburzenie hormonalne, w wyniku którego zachowywała się tak, jakby na kołderce pod oknem miała gniazdo ze szczeniętami. Nikt nie mógł się tam nawet zbliżyć. Ledwie wychodziliśmy na spacer, a już robiła się strasznie nerwowa i zaraz trzeba było wracać, ona zaś biegła po schodach jak szalona i z wściekłym warczeniem podbiegała do swojego „gniazda”, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Stella obdarzona była wybitnym talentem artystycznym, potrafiła bowiem przejść na tylnych łapkach przez cały salon tam i z powrotem. Ponadto chłopcy odkryli, że uwielbia arie operowe, przy słuchaniu których straszliwie wyła, ale – trzeba przyznać – wyła harmonicznie. Kiedy dobijała

do czternastego roku życia, zaczęła tracić pamięć. Wykorzystywała rzadkie chwile naszej nieuwagi i wymykała się na samotne spacer, a potem nie potrafiła znaleźć drogi powrotnej. Kilka razy udało nam się ją odnaleźć, aż w końcu szczęście odwróciło się do nas plecami. Chodziliśmy po całej wsi, nawoływali, zaglądali na każde podwórko – nic. Po kilku dniach, kiedy straciliśmy już nadzieję, chłopcy, zbierając grzyby, znaleźli ją w odległym zagajniku. Żyła, ale była w bardzo złym stanie i pomimo starań pana weterynarza nie udało się jej uratować.

Nie ma Stelli i nie ma Nero, ale w naszych wspomnieniach ciągle żyją, psocą bez ustanku i przymilają się na zmianę, jakby rzeczywiście byli z nami przez cały czas. Kochane moje mikrusy, to bardzo boli, kiedy odejdzie ktoś bliski. My z babcią pożegnaliśmy już dawno swoich rodziców, szlachetnych i dzielnych ludzi. Gdyby nie oni, nie byłoby nas tu dzisiaj, a bez ich wpływu nasze spojrzenie na świat i wyznawane przez nas wartości uformowałyby się zapewne zupełnie inaczej. Nie ma ważniejszych ludzi od rodziców. Odeszli też niektórzy nasi dobrzy przyjaciele. Pozostały po nich napisy na nagrobkach i ślady, jakie odciśnęli w naszej świadomości.

Moi kochani, ja wierzę, że kiedy odchodzi żywa istota, to jest tak, jak gdyby ktoś zdmuchnął płomyk świecy. Ci z Was, którzy przerabiali już fizykę,

wiedzą, że nawet wtedy, kiedy źródło światła gaśnie, wysłane przez nie fotony nadal podążają we wszystkich kierunkach, aż utkną w jakiejś czarnej dziurze w centrum którejś z galaktyk i odtąd nikt już nie sprawdzi, co się z nimi dzieje. A pomimo tego nie przestają istnieć.

Nasze życia są takimi właśnie płomikami, które, nawet po wygaśnięciu, pozostawiają błądzące w bezmiarze ślady istnienia. Ale zanim tak się stanie, zanim płomyk świadomości zgaśnie, a wyemitowane przezeń iskierki ruszą na podbój wszechświata, zajrzą jeszcze do ważnych dla nich miejsc, do domu dzieciństwa, do jego kuchni wypełnionej zapachem smażonych konfitur, zawirują nad łąką, po której biegł pierwszy, najlepiej zapamiętany, najukochańszy pies, pojedą rozklekotaną ósemką z akademika na uczelnię, znowu pójdą pewną czereśniową aleją (którą tak bardzo lubiła babka, kiedy nie była jeszcze babką, a czarującą dziewczyną), a potem, lecąc coraz szybciej, przemkną przez galerię wszystkich poznanych twarzy... i tyle ich widzieli.

Więc kiedy nadejdzie czas i przyjdzie nam odejść, to nic takiego się nie stanie. Poskaczemy sobie trochę, niżczy pasikoniki, z jednej galaktyki na drugą, a Wasze wspomnienia zachowają nas w naszym człowieczym kształcie jeszcze przez długie lata.

Bywajcie, Mikrusy!

Dziadek

Dlaczego liście zmieniają kolor

Czerwone, żółte, brązowe, pomarańczowe! Jesienne liście mieniają się niemal wszystkimi kolorami tęczy! Zanim na dobre opadną z drzew, osłabione przez listopadowe deszcze i wiatry, cieszą nasze oczy podczas październikowych spacerów po lesie czy parku. A jak to się w ogóle dzieje, że przestają być zielone?

jesienia?

MIĘDZY NAMI



DZIECIAKAMI

Ciekawostki o liściach

Gdy nadchodzi jesień, dni stają się krótsze, a słońce coraz szybciej znika za horyzontem. To znak dla drzew, że pora zacząć oszczędzać siły i przygotować się do zimy. Jednym ze sposobów na to jest pozbywanie się zielonych liści.

Wiosną i latem zielone liście są bardzo potrzebne, bowiem pomagają roślinom łąpać światło słoneczne i produkować pożywienie. Dzieje się tak dzięki substancji zwanej chlorofilem, która odpowiada też za ich zielony kolor.

Skoro jednak jesienią jest mniej słońca, drzewo nie ma możliwości „wykarmienia” wszystkich swoich zielonych liści. Dlatego właśnie chlorofil powoli zanika, robiąc miejsce dla innych barwników, znajdujących się w liściach – karotenoidów, odpowiadających za kolor żółty i pomarańczowy, oraz antocyjanów, sprawiających, że liście stają się czerwone i fioletowe.

Następnie liście opadają z drzewa, a ono dzięki temu ma większe szanse, by nie zamrznąć i przetrwać zimę. A wiosną obudzić się i ponownie zazielenić!



Na tym samym kontynencie rośnie też rekordzistka wśród roślin wodnych, czyli wiktoria królewska. Miejscowi Indianie nazywają jej liście „talerzami wodnymi”. Osiągają one nawet do 4 metrów średnicy i potrafią utrzymać na swojej powierzchni... dorosłego człowieka.

Liście o średnicy 2-3 metrów? Tak, to możliwe! Posiadaczka takich wielkich liści jest gunera olbrzymia, którą można spotkać w Ameryce Południowej.



Istnieją rośliny, których liście są tak grube i mocne, że można z nich produkować liny okrętowe, powrozy i sznury. To tak zwane rośliny włóknodajne. Jedną z nich jest bananowiec manilski, który można spotkać m.in. na Filipinach.

Niedawno na Ukrainie powstała pierwsza na świecie firma zajmująca się produkcją papieru nie z drewna, a z opadłych z drzew liści. Według wyliczeń naukowców, żeby wyprodukować 20 tysięcy arkuszy, trzeba zebrać 1 681 kilogramów liści. Może to uratować aż 10 drzew przed wycinką!



NATALIA KONICZ-HAMADA

Burak – niepozorny król jesieni



Trudno o bardziej jesienne warzywo niż burak (no, może poza dynią, bo powszechnie wiadomo, że królowa może być tylko jedna!). Ponieważ sama mam do buraków słabość, w październiku proponuję Wam tartę z tym bohaterem i udowodnię, że burak może być królem jesiennych dań, nawet jeśli z wyglądu przypomina bardziej szarą eminencję niż gwiazdę kuchni. Na Słowacji burak nie jest aż tak popularny jak w Polsce, a szkoda,

bo to prawdziwa bomba witamin i minerałów, idealna na jesienno-zimowe przesilenie. Chciałabym trochę odczarować buraka – żeby nie kojarzył się wyłącznie z barszczem wigilijnym czy surówką. Bo burak to naprawdę wdzięczne warzywo, które potrafi błyszczeć na talerzu... nawet jeśli z natury jest lekko nieśmiały i czerwieni się na samą myśl o byciu w centrum uwagi.

Tarta

z pieczonymi burakami,
kozim serem, miodem
i orzechami włoskimi

Ciasto:

- 250 g mąki
- 150 g zimnego masła
- 1 jajko
- 1 łyżeczka soli
- sól
- 1 łyżka zimnej wody

Zagnieć ciasto, uformuj kulę, zawiń w folię i schłódź godzinę. Rozwałkuj, wyłóż formę, ponakłuwaj widelcem i podpiecz 15 min w 190°C z obciążeniem (ciasto przykryj papierem do pieczenia i obciąż np. ryżem), potem jeszcze 10 min bez.

Farsz:

- 2-3 buraki (ugotowane lub upieczone)
- 2 serki twarogowe (almette, smotanová nátierka)
- 180 g koziego sera
- 3 czerwone cebule
- 3 łyżki miodu
- garść tymianku
- garść orzechów włoskich,
- rukola
- oliwa, ocet balsamiczny, sól, pieprz

Cebulę pokrój w piórka i podsmaż na oliwie z łyżką miodu. Serki wymieszaj z tymiankiem, dopraw. Na podpieczonym cieście rozsmaruj masę serową, ułóż plastry buraków, cebulę i kozi ser.

Piecz 35-40 min w 180°C. Po upieczeniu udekoruj orzechami, rukolą, skrop miodem i octem balsamicznym.

A teraz już tylko zostaje pytanie: zjeść samemu czy podzielić się z kimś bliskim? Podpowiem – w duecie smakuje jeszcze lepiej!



ZDJĘCIA: EDYTA MIKUŠOVÁ



Na stronie www.poloniask.pl znajdują Państwo bonusowy jesienny przepis na zapiekane gruszki przygotowany specjalnie przez autorkę.